

LITERATURA, SZTUKA, KRYTYKA, WYCHOWANIE, GOSPODARSTWO, PRZEMYSŁ, SPRAWY BIEŻĄCE, POLITYKA.

Nr 10—584.

Redakcja: Chmielna, № 26.

Warszawa, 11 marca 1887 r.

27 lutego 1887 r.

Tom XXIII.

## Z WARSZAWY.

Żartowniś czy dziwoląg?—Sprawunek na ciężkie czasy.—Co to jest dobra nauczycielka.—Jakie ma suknie i jakie książki.—Aby uniknąć przetrząsania cudzych kufrow.—Kantory strzeżeń i pośrednictwo „Schronienia dla nauczycielek”.—Nasza rola skończona.—Adres po raz trzeci.—W szpitalu obłąkanych.—Jubileusz kapelana K. Nawrockiego.—S. p. W. Troschel.—Talent i zacość.—Powodzenie „Laryka”.

Pomimo świętej cierpliwości, w jaką jestem uzbrojony, zdarza mi się zżymać i gniesć w rękę listy z zapytaniami o to, co już po sto razy było publicznie ogadane. Tego zży-

mania się nie pozwalam sobie z listem pana Walerego R. z Rostoki, nie gniotę go lecz pytam się w duchu: czy korespondent z Lublina żartuje sobie, czy też naprawdę jest dziwolągiem? „Byłem w Warszawie — pisze lubelski turysta — kilkanaście razy, ale kolumny Zygmunta, o której panowie pisaliście w ostatnim swoim Raptularzu tygodniowym, nie pamiętam; raczcie mię objaśnić dokładnie, gdzie ona stoi i co ma znaczyć.”

O zaszczytce korespondowania z takim panem lepiej nie wspominać, niema się czém chwalić; również nie warto wspominać o panu Lucyanie Z. z Krzywobłówka, który z całą naiwnością zapytuje, czy „Pamiętnik Fizyograficzny” jest książką



W LOMBARDZIE PRYWATNYM.

Rysunek J. Ryszkiewicza.



lemu dostojnikowi; był on jej szczerym protektorem, kiedy piastował godność nuncjusza przy dworze austriackim. Kraków ze swojemi starymi świątyniami przypadł mu do serca, przypominając Rzym; zwiedził Galicyą w przejeździe do Lwowa, w Stariej Wsi koronował obraz Matki Bożkiej, wszędzie zyskiwał swą uprzejmością i ciepłym słowem serca miejscowej ludności. A największą, najcenniejszą pamiątką działalności kardynała dla Galicyi, było jego wstawiennictwo u cesarza, który chętnie dał ucha przedstawieniom i prośbom nuncjusza.—Na stanowisku dygnitarza, otoczony światem zbytkującym, dworactwem, kardynał nigdy nie zapomniał, że pierwój był kapłanem niż dyplomata i znakomitością; surowych obyczajów, mało wymagający, nabożny, unikał wystawy a najlepiej lubił samotne wycieczki w okolice Rzymu, nad błękitne jeziora, w gaje cyprysowe. Dyplomata był także poetą, choć wierszy nie pisał.—Dzieła rozpoczętego z Prusami nie dokończył; wytargował ustępstwa znaczne, złamał dumę kanclerza ale nie można tego wszystkiego jeszcze nazwać zwycięstwem; dopiero jutro lub pojutrze pokaże, czy kanclerz pochyłony przed majestatem papieżkim już się nie wyprostuje z zuchwałstwem, z jakim podpisywał „Ustawy majowe”, czy poświęcenie dla kanclerza ludu poznańskiego, tak zawsze wiernego Ojcu Świętemu, jest całopaleniem tylko w oczach tych, którzy tajników dyplomacyi przeniknąć nie potrafią.

**Ś. p. Roman książę Czartoryski**, niedawno zmarły w Galicyi, piastował honorowe urzędy, był nawet posłem, najchętniej jednak pracował jako ziemianin, właściciel obszernych dóbr w Poznańskim i w Galicyi, wśród sąsiadów z którymi chętnie się komunikował, szukając pod szlacheckim dachem rozumu i pracy; wśród włościan, którym nie skąpił pomocy materialnej ani światła. „Niech i oni staną się kiedyś obywatelami, na tém korona szlachecka ani książęca nic nie straci”; mawiał potomek znakomitego rodu, gorsząc popularnością swoją pysznych półpanków. Książę Roman umarł mając zaledwie lat 50. Cześć powszechna otacza pamięć jego.

**Ś. p. Jan Konarzewski**. Wychowaniec akademii inżynierów w Petersburgu, marynarz, podróżnik na około świata, wiceadmirał, usunawszy się ze służby pędził żywot ziemianina w majątku swym Anulinie, w pow. Wilejskim. Na roli zaskarbił sobie szacunek sąsiadów, którzy z głębokim żalem odprowadzili na cmentarz w Oborku zwłoki człowieka wypróbowanej zacności, niezłomnego charakteru, serca miłującego wszystko co piękne, prawe, rodzinne. Religijny jak jego przodkowie, nie ostygł ani zachwiał się nigdy w zasadach; należał do ludzi bardzo wykształconych i czynnych.

**Blota pińskie** za lat kilkanaście należeć będą do wspomnień, osuszenie bowiem dokonywa się na coraz większych obszarach, podług projektów generała Żylińskiego. W ciągu lat 13-stu osuszono 1,700,000 dziesięcin, t. j. przeszło piątą część całej przestrzeni błotnistej, która zajmuje ośm milionów dziesięcin. Osuszenie miliona dzies. kosztuje milion rs. Roboty odbywają się teraz głównie we wschodniej części Polesia, w nizinie dnieprzańskiej. Równocześnie z osuszeniem bagien, prostują się rzeki, kopią kanały, budują mosty, udogadniają komunikacye, skracające o dni kilka czas potrzebny dawniej na dostanie się z jednej miejscowości do drugiej, prawie sąsiedniej. Na osuszeniu stan zdrowotny okolicy wiele zyskuje, znikają choroby epidemiczne, ludzie wyglądają lepiej, rasa inwentarzy może się już ulepszać przy dobrej paszy. Są jednak tacy, którzy uparcie utrzymują, że przez osuszenie Polesie biednieje, gospodarstwa upadają a lud mający dawniej łatwe wyżywienie produktami z wody i lasów, z osuszonej a jałowej ziemi dostatecznego utrzymania nie wydobędzie. Kto ma racya—teorya czy praktyka, to tylko dokładna statystyka ekonomiczna może zdecydować.

**Opiekunowie Schronienia pod wezwaniem Ś-go Kazimierza w Paryżu** corocznie urządzą koncert, w którym przyjmują udział pierwszorzędne talenta. W r. z. koncert przyniósł dochodu czystego 7,500 franków. W tym roku organizatorowie poszukują sali koncertowej większej, ponieważ zeszłoroczna nie mogła pomieścić wszystkich słuchaczy. Podobno z wynalezieniem takiego lokalu idzie ciężko, właściciele sal koncertowych tłumaczą się zamówieniami, a odpowiedź rządu można

z góry przewidzieć. Opiekunowie przytulku dla biednych i chorych polaków, znalazłszy drzwi gościnnych francuzów zamknięte, będą musieli urządzić koncert pod odkrytym niebem.

**Na szczęście!** Prasa europejska powtarza słowa, które wyszły z ust Rudolfa Falba, uradowanego trzęsieniem ziemi w Zagrzebiu, przepowiedzianem przez niego na kilka miesięcy przed katastrofą. Przed dziesięciu laty—opowiadają nowiniarze—astronom austriacki został zaproszony do Zagrzebia, aby był świadkiem wywrózonego przez siebie nieszczęścia. Uczony przybył i czekał niespokojny, czy przepowiednia spełni się; niepokój ten opowiedział przyjaciółom swoim: „Godzina 7-ma—słowa Falba—nie ma nic, kwadrans na 8-mą, jeszcze nic, wpół do 8-ój, spokojnie; wtedy zacząłem się niepokoić—a nuż się omyliłem? Publiczność, która uwierzywszy w moją przepowiednię, powychodziła z domów na place, zaczyna się niecierpliwie! O trzy kwadransy na 8-mą, zirytowany tłum zaczyna rzucać kamieniami w okna ratusza. Wtem, równo o godzinie 8-ój, *na szczęście*, daje się słyszeć przerażający trzask i połowa miasta runęła w gruzach. Moja teoria odniosła tryumf!”—W opowiadaniu tém dużo jest humoru ale może być i prawda: często uczeni głuchną na jęki ludzkości, jeśli myśl ich triumfuje. „Eureka!” to samo ma znaczenie co „Na szczęście”; powtarza je astronom-wróźbita, dokoła którego zapadają się grody; powtarza żeglarz dotarłszy do bieguna, po drodze wytkniętej kośćmi jego poprzedników i towarzyszy.

**Przy drzwiach giełdy wiedeńskiej** pełnią obowiązki odzwierciedlonych dwaj wczorajsi milionerzy, którzy skutkiem zmienności kursów stracili cały swój majątek. Nie mieli oni odwagi wziąć się do jakiego innego zajęcia, które by ukryło zranioną ambycją przed oczami kolegów, litujących się nad ich niedolą; wołają w liberyi stać u drzwi, byle tylko patrzeć codziennie na bożków finansowych i mieć nadzieję, że jeszcze w pierze powtórnie porosną.

**MIECZ i DYPLMACYA.** Liga „Świat” nie jest zadowolony z wyczekiwania pełnego ufności w pokojowe załatwienie nieporozumień; podług tego organu już się utworzył związek Niemiec, Włoch, Austrii, do których przystępują niebawem Anglia, Holandia i Hiszpania; wobec téj „angielsko-austriacko-bałkańskiej ligi” trzeba się mieć na pogotowiu, czyli za przykładem reszty Europy mieć pod ręką wszelkie środki wojenne. Austro-Węgry w ciągu nie całego półroka użyły na cele wojenne sto milionów złr. Suma to kolosalna na państwo odłużone, wyczerpane i tak szczerze, jak minister hr. Kalnoky, powiedział, miłujące pokój.

**Komunikat** pomieszczony w „Prawitel. wiestniku”, powstanie w Silistryi nazywa jawnym dowodem ucisku wywieranego przez regencyą i oburzenia wielu oficerów bułgarskich, którzy nie mogą obojętnie patrzeć na ponizenie armii bułgarskiej, używanej za ślepe narzędzie w ręku uzurpatorów władzy. Rząd Cesarski ubolewa nad bezpożytecznym rozlewem krwi, nie traci nadziei, że porządek w Bułgarii wróci i zamierza nadal trzymać się dotychczasowego postępowania.

**Sily zbrojne.** „Moskowskie Wiedomości” powtarzają za b. ministrem austriackim Schöfflem, że Niemcy mogą wystawić na linii bojowej 2,805,000 żołnierzy, Austro-Węgry 1,279,000, Rossya 2,900,000, Francya 2,956,000; a zatem Rossya w połączeniu z Francją mają przewagę o 1,772,000 żołnierzy.

**Uchwała milcząca.** Bez przemów, bez rozpraw, delegacya przedlitawska uchwaliła jednogłośnie kredyt 52½ milionów złr. Ma to być tylko „kredyt przezorności”; ponieważ, podług hr. Kalnokyego, Austro-Węgry są w przyjaźni z całą Europą a szczególnie z Rossją, której prawa zwierzchnicze do Bułgarii zupełnie uznają. Tenże minister oświadczył, że wewnętrzne sprawy Bułgarii nie obchodzą Austrię, która musi „gdzieindziej mieć zwrócone oczy a nie na Wschód.” Gdziein-dziej, tego minister nie powiedział.

**Kraków.** Władza wojskowa odmówiła komisji wystawowej części placu zwanego „Piekielkiem” a dotyczącej fortów, motywując odmowę okolicznościami nieprzewidzianymi.

**Meklerstwo ks. Bismarka** widzi „St.-Petersb. Listok” w dążeniu do takiego zagmatwania spraw europejskich, że trzeba



będzie koniecznie użyć miecza, aby węzeł gordyjski przeciąć. Kanclerz dąży do tego, aby Rossya pierwsza miecz obnażyła, i dlatego podsuwa jej natarczywie sprawy bułgarskie. Nawet powstanie już zdławione na Korsyce, pismo to przypisuje intrygom kanclerza, którego nazywa intrygantem politycznym znakomitym, bez spółzawodników.

**Pierwszą karę** już wymierzono Alzacyi za wybranie do parlamentu samych patryotów francuzkich a więc wrogów Niemiec. Rozwiązano kilkanaście stowarzyszeń legalnych, z charakterem naukowym lub towarzyskim, między innymi Towarzystwo śpiewackie; nadto obostrzono kontrolę nad francuzami przybywającymi na pewien czas do Alzacyi; obostrzenie tak daleko zachodzi, że jednych francuzów wydalają, innych zwracają z granicy. Pisma gadzinowe zapowiadają zniesienie prawa wyborczego i inne niespodzianki.

**Dania**, podług „Aj. Półn.”, w razie wojny zachowa ścisłą neutralność.

**Zbieg okoliczności przypadkowy czy umyślny**, zapytuje się „Politische Correspondenz”, mówiąc o powstaniu w Sylistryi i o zamiarze obwołania Bułgaryi królestwem. Pismo to inspirowane przypuszcza umyślnie ułożoną kabałę i rozruchy bułgarskie nazywa „początkiem końca”.

**Hiszpania** także prawi o neutralności i także zamyśla o uzbrojeniach, pomimo skarbu pustego. Ministerjum projektuje uzbroić fortece, obsadzić wojskiem granice Francyi i Portugalii, zacieśnić serdeczne stosunki z Włochami, Francją i Anglią—i patrzy spokojnie jak się inni bić będą. Polityka wygodna, dopóki intryga niemiecka nie każe i Hiszpanii wyjść ze stanu biernego.

**Manifest emira Afganistanu**, podług „Aj. Półn.”, zalecający poddanym gotowość wojenną, jest krokiem nieprzyjaznym względem Rossyi. „Wojna święta”, o jakiej mówi manifest, powołuje do ćwiczeń zbrojnych nawet chłopców od 10 do 18 roku. Przegląd wojsk i pobór mają się odbyć w marcu.

**Pośrednictwo Papieża** pomiędzy Francją a Niemcami nabiera coraz większego prawdopodobieństwa; nawet pisma francuzkie oficjalne o tém rozprawiają, acz półsłówkami, chociaż one najlepiej powinnyby wiedzieć, co znaczyły nadzwyczajne poselstwo od Rzeczypospolitej, które na audyencji w Watykanie oświadczyło Papieżowi głęboką cześć i złożyło drogocenne dary.

**Do wojny pchają żydzi**—tak utrzymuje „Nowoje Wremia”, przez usta p. Zacharowa. Na obniżce wartości papierów zarabiają firmy bankierskie, do których wszystkie rządy udają się po pożyczki na uzbrojenia. Procenta pobierane przez bankierów od tych operacyj są kolosalne, można je obliczać na miliardy. Żydzi nie tylko pożyczają lecz także podejmują się dostaw dla wojska żywności, odzieży i t. d. po bajecznie wysokich cenach, bo taniość jest tylko oszustwem, zważywszy na lichotę towaru; np. buty, dostawiane przez liwerantów dla armii francuzkiej, miały podeszwy papierowe. P. Z. wylicza długi szereg dowodów, któremi popiera założenie swoje, że gdyby nie bankierzy-żydzi, nad Europą nie wisiałaby chmura wojenna.

**Poselstwo Lessepsa**. Bywają nadzwyczajni posłowie ale najnadzwyczajniejszym można nazwać Lessepsa, sławnego twórcę międzymorza Suez i Panama, który udał się do Berlina z wielkim krzyżem legii honorowej dla posła francuzkiego Herbetta i w misyi dyplomatycznej. Najdowcipniejsi ludzie nie mogą się domyśleć, jakim kanałem znakomity inżynier sprowadzi na schadzke poufną Niemcy i Francją; obu państwom idzie o kanał skryty, którego by oko żadnego sąsiada nie dojrzało.

**Węgry**. Wszyscy deputowani węgierscy, z małym bardzo wyjątkiem, ofiarowali swe służby w pospolitem ruszeniu, chcąc przez to dać dobry przykład ludowi. Drużyny potrzebować będą 7,000 oficerów, a prośb o przyjęcie na służbę nadesłano już 20,000. Żołnierzy umunduruje rząd swoim kosztem.

**Hollandya**. Socjaliści, w krainie tulipanów i spoczynku równo z zachodem słońca, znowu podnoszą głowę: w Amsterdamie starli się z policją i ludnością. Na placach legli zabici i ranni.

## NIEMIECKI KARABIN MAGAZYNOWY.

Nowy karabin magazynowy czyli repetierowy, w jaki wkrótce będzie uzbrojona cała armia niemiecka, nosi nazwę w katalogu militarym: karabina M. 71—84. Jest to karabin Mosera z r. 1871, ulepszony przez dodanie mu mechanizmu repetierowego w r. 1884.

Nie wdając się w szczegóły budowy tej broni, zajmujące jedynie dla specjalisty, objaśnimy dlaczego karabin nazywa się magazynowym. Ów magazyn widzimy w dolnej części karabina, zrobionej z drzewa i zapełnionej nabojami, stykającymi się z sobą; przed ostatnim a raczej pierwszym od wylotu znajduje się styczna z nim spiralna, która naboje popycha w tył, w łożysko A, podnoszące się i opadające zapomocą śruby G. Na rysunku śruba G jest opuszczona a to dla przyjęcia w łożysko A nowego naboju z komory. Jeżeli lufa jest pusta, wówczas śruba G podnosi łożysko i nabój wchodzi do lufy; zkad go wypycha tłok popchnięty siłą prochu. Tłok wypychając nabój z lufy równocześnie opuszcza łożysko A, w które wchodzi nowy nabój z magazynu, aby się następnie przenieść znowu do lufy i t. d. Magazyn mieści ośm naboju, oprócz dziesięć razy w ciągu 20—30 sekund. Karabin Colta strzela w ciągu tego czasu 15 razy, a Vetterli'ego 13 razy, lecz karabin z takimi ilościami naboju traci prędko równowagę, jest zadługi, z opróżnionego w połowie żołnierz źle celuje.

Żołnierz z magazynierki może strzelać pojedynczemi w długich odstępach nabojami, albo wyrzucać jeden po drugim; to zależy od potrzeby i od śruby G, którą z wielką łatwością można manewrować. Karabin M. 71—84 z bagnetem ma długości 1 metr. 80; waży 5 kilog. 800 gram. Trafia celnie na 200 metr. do pojedynczego człowieka, na 400 metr. do kolumny, a do szeregów rozwiniętych na 600 metrów.

## JENERAŁ BOULANGER.

Żaden ojciec nie wyposażył tak hojnie swego ukochanego syna jak wyposażył ks. Bismark jenerała Boulangera: dał mu sławę a więc nieśmiertelność. Dar ten nie wiele kosztował kanclerza — poszczuł na francuzkiego ministra wojny i zaraz wszystkie organa gadzinowe zaczęły krzyczeć w niebogłoso, że Boulanger jest antychrystem, który chce połknąć Niemcy i rzucić Europę w ogień wojenny. Ile szczeroci jest w tym niepokoju kanclerskim, czy on naprawdę wierzy w wyższy talent Boulangera, czy też drwi sobie z niego w duszy, jak się drwi z kozła ofiarnego, o tém nikt nic pewnego powiedzieć nie może; i to szczucie jak cała polityka Bismarkowska jest tajemnicą, tylko czuć od niej na sto mil machiawelstwo.

Faktem jednak jest, że żaden kraj nie posiadał ministra wojny tak popularnego jak jenerał Boulanger. Popularność, którą pozyskał w tak krótkim czasie, bo w przeciągu prawie roku jednego, zawdzięcza on poczęści swoim przymiotom, a poczęści szczęśliwemu dlań zbiegowi okoliczności. Jest to człowiek zręczny, ruchliwy, energiczny, miły w obejściu a umiejący korzystać z nastęrczających mu się pomyslnych sposobności. Typowy to żołnierz francuzki, posiadający męstwo wesołe, a przytem ambicyą wielką.

Te zalety i właściwości charakteru sprawiły, że posuwał się szybko w stopniach wojskowych i już w 33-cim roku życia został pułkownikiem. Dobiwszy się teki ministra wojny, której gorąco pożądał, zaczął od manifestowania swoich czysto republikańskich dążeń. Lubo dawniej był w najlepszych stosunkach z książętami krwi francuzkiemi, mianowicie z Orleanami, zostawszy ministrem począł ich przesładować, popierając wniosek wygnania z Francyi pretendentów i wydalając z armii wszystkich członków rodzin niegdyś panujących. Zachowanie się jego względem księcia Aumale, które w swoim czasie dość



narobiło było hałasu, pozostanie zawsze brzydkim cieniem na jego charakterze.

Co do jego rzeczywistych zdolności jako męża stanu i wojownika, zdania są wielce podzielone. Jedni poczytują go za człowieka istotnie wielkiego, powołując się głównie na jego popularność i miłość, jaką uniał sobie zjednać u narodu. Utrzymują, że żadne ministerium, żadna izba, żaden prezydent nie ostałby się dwadzieścia cztery godziny, gdyby powziął zuchwałą myśl stracenia Boulanger'a z dzisiejszego jego stanowiska. Francya wierzy w Boulanger'a i gotowa pójść gdzie on zechce.

Drudzy, którzy odmawiają stempla wielkości Boulangerowi, zgadzają się na to ostatnie twierdzenie, tylko dodają jedno „niestety!”, a mianowicie, że sam Boulanger nie wie gdzie ma iść. Cała rzecz w tém, że, jak to o nim jeden z przyjaciół powiedział: „sam nie wie dokąd, ale idzie!...” Popularność — twierdzą ci sami — zjednał sobie zręcznością i schlebianiem namiętnostkom republikańskim, a napaści nań niemieckie podniosły go tak, że popularność ta rozlała się na całą Europę.

Tymczasem on sam ma być człowiekiem bez zdania, bez żadnego planu w sprawach politycznych i wojskowych, z łatwością powodującym się obcym wpływem i obcym sądem. Ztąd największa jego usługa, jaką oddał Francji, reorganizacja armii, nie ma jednolitości, nosi na sobie ślady kilku autorów; są w niej rzeczy doskonałe, ale są i punkta słabe, są nawet wielkie błędy.

Niejednostajny w swém postępowaniu, raz zanadto surowy, to znów zanadto pobłażliwy, pozyskał sobie w armii wielu zapalonych wielbicieli, ale również i wielu zaciętych nieprzyjaciół. Ruchliwy z natury, rozpoczął wiele reform ale żadnej nie przeprowadził należycie, do końca. Nawet wpływ jego na masy ma być powierzchowny a nie sięgać do gruntu, i dlatego utrzymują, że urok, jaki go otacza, zniknie wraz z jego upadkiem jako ministra.

Kto ma rację, pierwsi czy drudzy?... trudno dziś wyrokować. Sama jego dzisiejsza popularność zdaje się wskazywać, że bądźco bądź nie jest to człowiek tuzinkowy, ale jaka jest właściwa jego wartość, moglibyśmy dopiero osądzić, gdybyśmy go ujrzeli w akcji. Najtrafniej też podobno o nim wyraził się jeden z jego kolegów, który jednemu z przyjaciół swoich odpowiedział: „Pytasz się mnie jak sądzę: czy jest w nim materiał na Bonapartego? Odpowiem ci po jego Marengo.”

## GWIAZDA GAŚNIE.

POWIEŚĆ

KLAUDYUSZA MARAISEL.

(Dalszy ciąg.)

Armand z kieszenia pełną złotą powrócił zadowolony, Ludka nadbiegła wypytyując ciekawie:

— Dał ci pieniędzy?

— Dał.

Dotąd ona zawsze była kasyerką i trzymała u siebie klucz od kantorki; machinalnie więc wyciągnęła rękę.

Armand obruszył się.

— Ja chodziłem po pieniądze, zatem ja je zatrzymam u siebie. Masz dwadzieścia franków na dzisiejszy i jutrzejszy wydatek.

Ludka zarumieniła się gniewnie i w milczeniu wzięła pieniądze, nie powiedziawszy nawet „dziękuję”.

Dotknięta była do żywego; nieufność męża zabolęła ją żywiej niż najcieńsza obelga.

Pożyczka ta pozwoliła im zaspokoić pilniejsze długi i dała na czas jakiś spokojność o niezbędne potrzeby do życia. Ale chwilowy ten dobrobyt nie naprawił stanu rzeczy, pieniądz pożyczony to nie to co własny; przy każdym starciu sprzecznych zdań między małżonkami, po którym następowały

długie i pełne przekąsu milczenia, lub wymiana spojrzeń gniewnych i ironicznych, Armand i Ludka czuli wyraźnie, że miłość ich wzajemna stygnie coraz bardziej a każde z nich zbyt dumnym było, aby uczynić pierwszy krok do zgody...

Upłynął rok... Termin wypłaty weksłu zbliżał się... Armand nie był w możności uiścić się z długu i rozpacz ogarniała go co robić... Pan Moufflard umarł nie zdążywszy podpisać testamentu. Ostatnia deska zbawienia runęła... Parin nie puścił weksłu w obieg i zapewne pozwoli odroczyć termin... ale potem — co będzie potem?! Trzeba przecież żyć... Armand biega od jednego do drugiego, nie przepuszcza żadnej sposobności dostania roboty... Wszystko daremnie! Wczoraj właśnie chodził do jednego z dawnych swych przyjaciół, który mu obiecał mówić o nim z redaktorem jednego z pism peryodycznych... Polecił mu spotkać się z nim o czwartęj w kawiarni przy ulicy Drucot i obiecał zdać mu sprawę z interesu. Ludka zniechęcona, przestała już nawet szukać zajęcia... Dnie całe przepędza beczynnie w pracowni, nie dotykając się farb i pędzli...

Armand zaraz po śniadaniu wyszedł na nowo próbować szczęścia, a o naznaczonej godzinie wybiera się do kawiarni spotkać swego przyjaciela. Ludka zostaje sama i bierze książkę do ręki dla zabicia czasu i rozpędzenia smutnych myśli. Naraz dzwonek zatętnił w przedpokoju; idzie otworzyć i z pewnym zdziwieniem spostrzega wchodzącego o tój niezwykłej porze pana Parin. Wprowadza go do salonu i prosi siedzieć. Naraz przypomina sobie, że za dwa tygodnie przypada termin wypłaty weksłu. Zmieszana nieco, odzywa się nieśmiało:

— Domyślam się, co kochanego pana sprowadza.

— Idę o gruby zakład, że nie domyślasz się pani rzeczywistej przyczyny...

Ludka przybliżyła krzesło swoje do gościa i staje się naraz słodką i ujmującą.

— Przyszedłeś pan, przewidując, że męża mego nie zastaniesz w domu...

— Tak, przewidywałem to...

— I chcesz pan wybadać w jakim stanie są nasze interesy i. czy stawimy się w terminie wypłaty... Otóż, nie, niestety! drogi panie. Nie jesteśmy w możności tego uczynić. Już dawno chciałam przyznać się do tego Hortensyi, ale nie śmiałam... Spotyka nas zawód za zawodem... nieszczęście uwzięło się na nas... Liczyliśmy na pewne wpływy, oglądaliśmy się na nadzieje, które spełzyły na niczym... Może źle robię, że przyznaję się do tego, ale rachowaliśmy na mały spadek, który nas ominął... Jednym słowem, jesteśmy bardzo nieszczęśliwi, bardzo skłopotani... Nie przyczynisz się pan do naszego zmartwienia, wszak prawda?! i przedłużysz termin tój nieszczęsnej wypłaty, która nas spokoju pozbawia we dnie i w nocy...

— Przegrałaś swój zakład, droga pani. Ani mi w głowie powstało upominać się o pieniądze; przyszedłem w innym zupełnie celu...

Tu Achilles znowu przybliżył krzesło swoje do Ludki.

— O cóż więc idzie? — zapytała zdziwiona.

— Czy pani raczysz sobie przypomnieć, że niegdyś starałem się o jej rękę?

— Tak.

— I że odrzuciłaś pani wtedy miłość moją?

— Cóż to ma za związek?...

— Czy też pani nie domyślałaś się dlaczego, gdy mąż jój przyszedł do mnie po radę, okazałem mu tyle przyjacielskiej serdeczności; dlaczego zawsze gotów byłem na jego usługi?

— Nie.

— Dlaczego ożeniwszy się, namówiłem żonę moją do odwiedzenia pani i zawiązania z nią przyjaznych stosunków?

— Nie.

— Dlaczego... mężowi pani pożyczałem pieniądze?

— Nie.

— Dlatego, że panią kocham.

Ludka zarumieniona, żywo poruszyła głowę, jakby chciała powiedzieć: „a mnie co do tego?! tém gorzej dla pana!” i wyszeptała kilka słów niezrozumiałych a gniewnych. Achilles ją wyznawać długo tłumioną miłość swoją, chwycił jej rękę i usiłował zmusić ją do wyznania wzajemności.

— Przestań pan! proszę — stanowczo zawołała Ludka. — Jest to żart niewłaściwy, który mi sprawia wielką przykrość!



Achilles widząc, iż się zawiódł w swoich nadziejach, usiłował w żart obrócić rzecz całą. Pochwalił Ludkę, że tak wierną była obowiązkom swoim, wysławiał szczęście męża, któremu nieba dały podobną żonę; po chwili pożegnał się i wyszedł nadrabiając miną.

W rzeczy samej jednak okropnie był zirytowany. Miłość jego własna została dotkliwie upokorzona... obwinił sam siebie, iż niezręcznie wziął się do rzeczy. Zły był na Ludkę a bardziej jeszcze na Armanda...

Przestępując próg domu spotkał się z Haymanem.

— Dzień dobry! — zawołał stary fabrykant niemieckim akcentem. — Co widzę, wracasz pan od pani Dübner! Ho! ho! mości panie! młodość ma swoje przywileje.

— Cóż znowu?!

— He! he! znamy się na tém.

— Ależ upewniam pana, że jesteś w błędzie — żywo zaprzeczył Achilles podrażniony.

— W takim razie, daruj pan, ale jakże się to dzieje, że odwiedzasz panią Dübner, gdy pewien być możesz, iż męża nie zastaniesz w domu?

Achilles zamilczał.

— A co! widzisz pan? Milczenie cię zdradza.

— Ale słowo panu daję, panie Hayman, że mylnie tłumaczysz sobie moje zamiary. Przyszedłem tu (naraz błysła mu myśl szczęśliwa), przyszedłem w pieniężnej sprawie. Chciałem się przekonać jak rzeczywiście stoją interesa Dübnera i czy mogę liczyć na wypłatę w terminie pożyczonej mu przezemnie sumy...

— I cóż? zastałeś pan pustki w kieszeni?

— Okropnie; są bez grosza.

— No, decyduj się pan...

— Ależ bo widzi pan, panie Hayman...

— Kiedyż panu mówię, że nic na tém nie stracę.

— To nie o to idzie...

— Aha! rozumiem... kochasz się pan w téj pani i dlatego...

— Ależ nie, nie—żywo zaprzeczył Achilles.

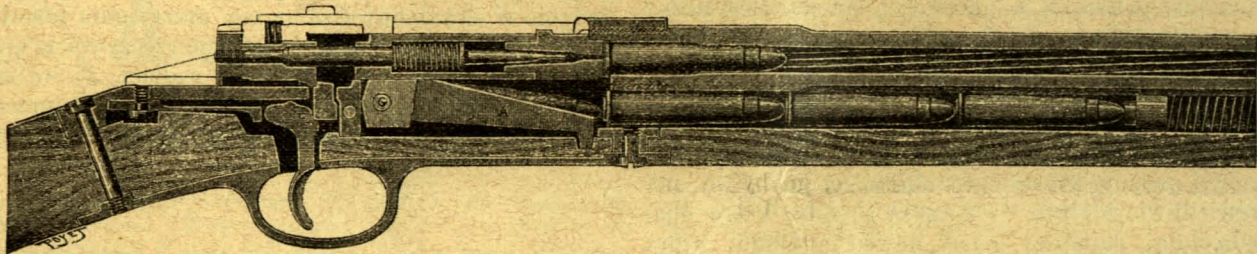
— Zatem czemuż nie chcesz załatwić tego interesu?

— A zresztą—pal licha!... niech i tak będzie!

Wstąpili obaj do poblizkiej kawiarni, zażądali papieru i pióra, i między dwoma kieliszkami absyntu załatwili sprawę; poczem rozeszli się, każdy w swoją stronę, pożegnawszy uprzejmie.

Po wyjściu Achillesa, Ludka szybkimi krokami biegnąc zaczęła po pokoju. Była blada bardzo i wzruszona. Serce jęj uderzało gwałtownie, pulsa tętniły, ręce jęj drżały gorączkowo. Rzuciła się na kanapę, ale nie mogła usiedzieć w spokoju. Siłąc się daremnie przez godzinę o odzyskanie panowania nad sobą, postanowiła wyjść na ulicę, w nadziei, że powietrze orzeźwi ją nieco. Idąc rozmyślała nad swoją przygodą. Wahała się czy wspomnieć o tém mężowi lub nie, ale po namyśle postanowiła zamilczeć o całej sprawie. Armand musiał całemi dniami przebywać poza domem, szukając zajęcia; czemuż więc niepokoić go i przymnażać mu zmartwienia, wyjawiając niebezpieczeństwo na jakie żona jego narażoną zostaje.

Szła ulicą, z wolna, machinalnie prawie, obojętna na to, co działo się dokoła, gdy ktoś z przechodniów potrąciwszy ją w biegu, przywołał nagle do poczucia rzeczywistości. Znajdowała się naprzeciwko wielkiej kawiarni, położonej przy zbiegu ulicy Drouot i Lafayetta. Podniosłszy oczy ujrziała mężczyznę, który



Niemiecki karabin magazynowy.

Tu Achilles uradowany, że może przed kimś wynętrzyć złość swoją, jął narzekać na lekkomyślność Armanda, który zaciągał długi wiedząc, że nie będzie miał z czego je płacić.

— Trzy tysiące franków na roczny termin... pomyśl tylko pan. Nie może nikt powiedzieć, żem mu nie dał dość czasu... Uważam tę sumę za straconą... jakby w wodę wrzucił...

— Masz pan ten weksel przy sobie?

Parin włożył go był do pularesu, zdecydowany odegrać komedią bezinteresowności i spalić papier u stóp Ludki, w razie gdyby ta okazała mu się przychylną.

— Mam — odparł.

— Pokaż mi go pan.

Achilles wydostał papier i podał go staremu, który jął go oglądać na wszystkie strony; potem wyjął z kieszeni trzy bilety po tysiąc franków każdy i wręczył je Parinowi.

— Masz pan; nabywam weksel ten za nominalną jego wartość.

— Jakto?

— Ja, mój panie, znam się na tego rodzaju interesach; mam sposób odzyskania napowrót tych pieniędzy, wtedy gdy pan...

— Ależ...

Achilles zawahał się; z jednej strony rad był odzyskać sumę, którą uważał już za straconą; z drugiej zaś obawiał się, aby stary Hayman nie użył wekslu na wywarcie zemsty swęj nad kobietą, która nim wzgardziła w sposób tak dumny i poniżający. Miał on złość do nięj, to było widoczném! Lecz on— Parin, z jakiejże racyi miał ją oszczędzać? Czyż tylko co o mało nie wyrzuciła go za drzwi?! Nie, nie da się unieść zbytecznej wspaniałomyślności... kiedy mu się trafia sposobność spieniężenia wekslu, uczyni to bez względu na mogące wyniknąć z tego następstwa. Zresztą cóż w tém było złego? Wszak miał wszelkie prawo tak postąpić...

zabierał się właśnie wejść do zakładu. Chciała krzyknąć „Armandzie!” ale tchu jęj zabrakło w piersi. Mężczyzna znikł w drzwiach kawiarni.

Godzinę całą pozostała w miejscu, przechadzając się przed oknami i czekając aż się znów ukaże. Ale nie było go widać.

Znużona, wróciła do domu i padłszy na fotel wybuchła płaczem.

— Więc on tam przepędza dnię całe...—z goryczą myślała młoda żona. — Gra pewnie w karty i zabawia się wesoło z przyjaciółmi, a ja myślałam, że chodzi za robotą... żałowałam go, litowałam się nad nim! Mój Ty Boże!

Obiad przeszedł w grobowém milczeniu. Armand był w wściekłym humorze; starania przyjaciela nie zdały się na nic; miejsce już był zajął kto inny. Ulżyłoby mu się było na sercu, gdyby mógł wyzalić się przed żoną, ale małżeństwo już oddawna przestało rozmawiać z sobą. Podczas deseru jednakże, Ludka, podrażniona do żywego wzruszeniami przez które przeszła od rana, zapytała ironicznie i docinkowo:

— Zapewnie spracowałeś się bardzo dzisiaj?

— Tak jest.

— I gdzież tak, proszę?

— Szukałem wszędzie roboty.

— Czy i w kawiarni?

Armand nic nie odpowiedział; wyzywający ton żony nie podobał mu się.

— W kawiarni — powtórzyła Ludka, na twarz której występować zaczęły rumieńce gniewu. — Wszakże tam pracujesz codziennie.

— Ludko! — krzyknął Armand grzmącym głosem.

— O nie kłam! — zawołała kobieta pogardliwie. — Widziałam cię!



Armand porwał się z krzesła i rzucił się ku żonie z podniesioną ręką... nie spuścił jej jednakże, bo spotkał wzrok żony błyszczący, rozżarzony strasznym gniewem, nieulekniomy jak prawda, która patrzyła jej z oczu. Dłoń jego spadła machinalnie, ale zamiar niedokonany niemniej pozostał *zamiarem*.

(Dokończenie nastąpi).



Zapowiedzi pokojowe.—Nieufność opinii publicznej a nawet rządów niektórych.—Uzbrojenia w Danii.—Nowa teoria konstytucyjna.—Rokosz w Bułgarii.—Projekt siedmioletniego wojennego w parlamencie niemieckim.—Uchwały delegacji austro-węgierskich.—Pruski dziennik ministerjalny o obecnym położeniu.

Lord Salisbury na bankiecie w klubie narodowym w Londynie zapewnił, że widoki pokojowe stanowczo się zwiększyły; „Standard” oświadcza, iż Austria daje poważne rękojmie pokoju; podróż księcia Łobanowa Rostowskiego do Petersburga i Lessepsa do Berlina dyplomacya uważa za symptomy arcy-pokojowe; niemniej pokojową manifestacją ma stanowić liczny zjazd rodzin panujących, na dzień urodzin cesarza Wilhelma do Berlina.

A jednak tym wszystkim wskazówkom nie może uwierzyć opinia publiczna, widząc ciągle zbrojenie się państw zarówno większych jak mniejszych, i nie mogąc w ogólnych stosunkach dopatrzeć żadnej zmiany, któraby te obietnice pokojowe poprzeć i usprawiedliwić zdołała. Ze zaś są i rządy, które obawy opinii podzielają, najlepszy mamy dowód na Danii, która nawet wbrew woli reprezentantów kraju o uzbrojeniach zamysła. Ministerjum duńskie Estrupa wymyśliło nową teorię konstytucyjną, mocą której rząd ma prawo wprowadzenia w wykonanie każdej uchwały, powziętej przez jedną, którąkolwiek z izb duńskich. Ponieważ tedy izba niższa zgodziła się na projekt rządowy co do uzbrojenia, rząd, chociaż go izba deputowanych odrzuciła, postanowił Kopenhagę zamienić na twierdzę pierwszorzędą, kosztem 70 milionów marek, a na ulepszenie i wzmocnienie floty użyć 10 milionów marek. Niekonstytucyjność rządową może tym razem wyjść na dobre Danii, którą zaślepienie partii wolnomyślniej chce zupełnie bezbronną zostawić wobec groźących wypadków najwyższej wagi.

W Bułgarii rokosz, uorganizowany przez stronnictwo Cankowa, został przez rejencyą stłumiony. Rokosz ten szeroko rozgałęziony, wybuchnął ostatecznie w dwóch tylko twierdzach: w Sylistryi i Ruszczuku. W Sylistryi obeszło się podobno bez rozlewu krwi; zato w Ruszczuku przyszło do poważnego starcia. Na czele rokoszów stanął tutaj major Usunów, komendant twierdzy a zarazem dowódca trzeciej brygady piechoty, mając za sobą batalion pionierów; po stronie rejencyi stanęły dwa bataliony pułku 5-go. Bataliony te, pod dowództwem kapitana Wulkowa, po których stronie stanęła ludność cywilna, poparte przez hufiec ochotników, pokonały rokoszów w krwawej rozprawie, w której z obu stron po kilkudziesięciu ludzi poległo. Rokoszanie, a mianowicie ich przywódcy, ratowali się ucieczką. Major Usunów, podpułkownik Filow, wraz z kilkoma oficerami, uchodzili na łódce Dunajem, ale rażeni strzałami karabinowymi z miasta, schronili się na kępę. Tutaj atoli zaatakował ich statek wojenny rządowy „Gołubczyk”; po kilku strzałach wszyscy zostali pojmani, z wyjątkiem dwóch, którzy zginęli w Dunaju.

Z pomiędzy ujętych rokoszów, sąd wojenny połowy kilkunastu skazał na śmierć; z tych, pomimo przedstawień reprezentantów mocarstw w Sofii, według jednych doniesień 8-ju,

według innych 13-stu już rozstrzelano w Ruszczuku. Nie potwierdziły się wieści o wybuchu rokoshu w Tyrnowie i Widyniu.

Projekt o powiększeniu armii w poniedziałek przedstawiony został parlamentowi niemieckiemu. Celem szybszego załatwienia sprawy postanowiono nie odsyłać go do komisji, za czém przemawiał nawet Windthorst. Jeden Richter oświadczył, że stronnictwo jego (wolnomyślnie) trwa niezachwianie w swojej postawie względem projektu.

Zarówno jak przedlitawska, węgierska delegacya uchwiliła jednomyślnie kredyt na uzbrojenia. Obecny prezes gabinetu zamknął posiedzenie pełnym patryotyzmem zapewnieniem, iż w razie gdyby się nadzieje pokojowe nie ziściły, kraj nie cofnie się przed żadnymi poświęceniami dla króla i ojczyzny.

Jako wskazówka, uzupełniająca pogląd na położenie obecne, a raczej jako poprawka do zapowiedzi pokojowych, o których mówiliśmy na początku, posłużyć mogą słowa ministerjalnej pruskiej „Berliner Politische Nachrichten”, z powodu mowy hr. Kalnokyego mianej na posiedzeniu delegacji austriackiej.

„Dla ludów austro-węgierskich, jak niemniej dla wszystkich pokój miłujących narodów, nie wielka to pociecha, że zdaniem hr. Kalnokyego, monarchia habsburska i dziś nie jest narażoną na bezpośrednie niebezpieczeństwo. Ze względu bowiem na wielką niepewność położenia, której istnienie sam minister przyznaje, niebezpieczeństwo wojny pośrednie lada dzień zamienić się może na bezpośrednie, a przesilenie dzisiejsze może przejść w katastrofę, której rozmiarów przewidzieć niepodobna. Sfery dobrze powiadomione nie łudzą się pod tym względem. Uzbrojenia, według słów hr. Kalnokyego, przedsiębrane nie w celu przygotowania się do wojny, lecz jedynie w chwalebny zamiarze utrzymania pokoju, naprowadzają właśnie na domysł, że istnieje rzeczywście niebezpieczeństwo. Nie chcemy wyrzekać się nadziei, że wszystko jeszcze dobrze się skończyć może, ale niepodobna zaprzeczyć, że bez silnej dozy optymizmu, trudno się przyznać do takiego poglądu.”



608) ODPOWIEDŹ na pytanie: Jaka odzież jest najzdrowsza?

Skóra nasza składa się z naskórka, odnawiającego się ustawicznie, pod nim zaś leży właściwa skóra, rodzaj piłśni, w której rozłożone są gruczoly. Skóra ma za zadanie ochraniać od zimna organa pod nią będące, utrzymać ciało w jednakowej temperaturze, wydzielać pewne substancje tłuste, jakoteż pot i resztki zużytego naskórka.

Wydzielanie potu jest jedną z najważniejszych funkcji skóry, służy bowiem do ochładzania ciała; to objaśnia dlaczego łatwiej znosimy klimat gorący i suchy niż wilgotny. Pot zwierzęcia pokrytego nieprzepuszczalnym pokostem, nie może się wydzielać na zewnątrz i sprowadza śmierć z symptomatami pierwotnego uduszenia.

Leć i bawelna, tkanki roślinne pochłaniają z wielką łatwością wodę, która paruje zbyt prędko pod wpływem ciepła zabranego ciału ludzkiemu; wełna zaś a po niej jedwab zachowują elastyczność swoją i własność utajania ciepła wówczas nawet, gdy są silnie napojone wodą. Tkanki więc zwierzęce, jako złe przewodniki ciepła i elektryczności, stosowniejsze są na odzież niż tkanki roślinne, zabierające ciału zbyt wiele ciepła i elektryczności.

Niemniej ważnym jest samo zabarwienie; przepuszczalność ciepła tęp jest mniejsza, im barwa ciemniejsza. Najbardziej przepuszcza ciepło kolor biały, mniej żółty, zielony, różowy, niebieski, a najmniej czarny. Okoliczność ta ważną jest zwłaszcza w zimie, gdy idzie o największe zaoszczędzenie ciepła ciała. Odzież tęp będzie zdrowsza im więcej przylega do ciała, im jest lżejsza i przedza jej luźniejsza. I z innych względów pierwszeństwo należy oddać tkankom zwierzęcym.

Len, w styczności ze skórą, sprzyja rozwijaniu się wielu chorób skórnych. I bawelna potrzebuje do uprawy żaru słonecznego, gruntu ciepłego i bagnistego; podczas przygotowywania wydziela z siebie tumany pyłów, które zabijają nieszczęśliwych robotników. Jest ona wprawdzie gorszym przewodnikiem ciepła od lnu, lecz pochłania i odejmuje skórze część jej transpiracji. W każdym razie zdrowszą jest od płótna i nie naraża ciała w porze letniej na skutki zbyt nagłego oziębienia.

Jakież są niezaprzeczone korzyści tkanek zwierzęcych, sprowadzonych do dwóch typów: wełny i jedwabiu? Wełna powinna trzymać pierwsze miejsce; jest to część włosista, włóknista, pokrywająca skórę owiec i innych zwierząt, jak kozy kaszemirskie i tybetańskie, bobry, lamy, wigonie. Z natury zła przewodniczka ciepła, ma tę ważną zaletę, że zatrzymuje pomiędzy swymi włóknami pewną ilość powietrza. Prócz tego drażni lekko skórę i reguluje krążenie krwi. Jest niezbędną dla osób wątłych, wrażliwych na zimno i wilgoć lub przechodzących



nagle z jednej temperatury w drugą. Jedwab wreszcie ma tę zaletę, że jest izolującym i zachowuje bardzo dobrze elektryczność zwierzęcą. Ta ostatnia utrzymuje w giętkości mięskuly.

609) PYTANIE: Jakim złudzeniem ulega wzrok patrzącego na gwiazdy?

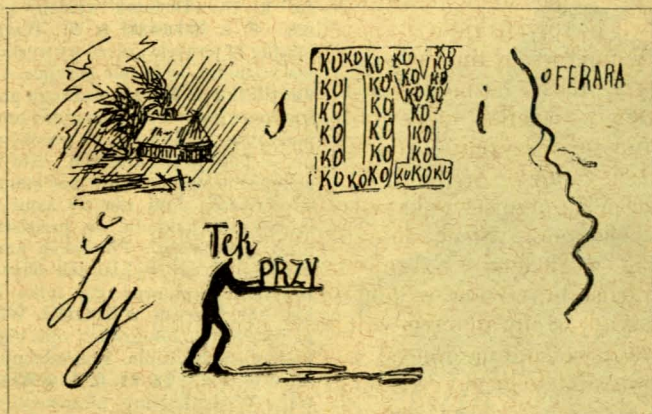
**Ze skarbeca prawd.** Między młodzieńcem a starcem jest ta różnica, że pierwszy wspiera się na nadziei a drugi na wspomnieniu.

**Lamigłówka kwadratowa, botaniczna.**

(p. Z. Rokossowskić.)

Wyrazy wzięte ze świata roślinnego, oprócz jednego. Środkowy wyraz stanowi nazwę kwiatka naszego. — **Znaczenie wyrazów:** 1) Spółgłoska „P”. 2) Roślina wodna i błotna. 3) Najniższy twór roślinny. 4) Sliczny górski kwiatek. 5) Roślina pospolita, po ugorach, o tłustych mięsistych liściach. 6) .....? 7) Gatunek grzyba żywo zabarwionego. 8) Owoc drzew iglastych. 9) Roślina afrykańska, pospolita u nas jako lekarstwo. 10) Organ wzroku. 11) Samogłoska „a”.

R E B U S.



Rebus z N-ru 9. Wynalazki są owocem nauki.

Towarzysze tragicznego losu cesarza Maksymiliana, do ostatniej chwili nie tracili dobrego humoru. W dniu egzekucyi, kiedy cesarz wyszedł z celi, widok pogody uradował go; w takim dniu właśnie chciał umierać. Nagle usłyszał dzwonięcie i spytał generała Miramona:

— Czy to dzwon pogrzebowy?  
 — Nie wiem, najjaśniejszy panie — odrzekł generał — bo pierwszy raz będę dziś tracony.  
 Cesarz się uśmiechnął.

— Panie dyrektorze, proszę o posadę.  
 — Kiedy żadnej nie mam — wszystkie miejsca zajęte.  
 — A kiedyż będzie wakaty?  
 — Za pół roku.  
 — Więc będę czekał, ale proszę o mnie pamiętać.  
 — Zawiadomę pana tego samego dnia, w którym się podam do emerytury.

Stary konkurent.  
 — Panno Różo, czy masz pani co przeciwko mnie, że nie chcesz mi oddać swęj rękę?  
 — Jeżeli mam być szczerą, to urodziłeś pan się... zawcześnie.

Malec, który był już karany za palenie papierosów, przyjechałszy z domu do Warszawy, zaczął się chwalić przed kolegami, że jechał koleją żelazną.  
 — I cóż wielkiego, to każdy z nas tę samę sztukę potrafi.  
 — Ale ja jechałem dwadzieścia mil w wagonie dla palących!

Uprzejmy opryszek, zaczepiwszy przechodnia na ulicy w nocy.  
 — Szanowny panie, która godzina?  
 — Nie mam zegarka, patrz pan — odpowiada zagadnięty, rozpinając palto.  
 — To ja mogę panu godzinę służyć: jest teraz pięć minut po dwunastej — odpowiedział opryszek, patrząc na zegarek wyjęty ze swojej kieszeni.

**JAK SOBIE RADZIĆ.**

**Aby uniknąć kataru i jego następstw.** Katar pozbywa się przez wciąganie przez nos, kilkarazy dziennie, po kilka kropel oliwy lub tranu. Wkrótce nastąpi ulga a potem uleczenie. — Dla zabezpieczenia się od tężże choroby, należy hartować nozdrza, przez wciąganie do nosa rano i wieczór wody z początku ciepłej, stopniowo coraz chłodniejszej, w końcu zimnej.

**Rolnictwo, przemysł, giełda.**

Rynki zbożowe nie przedstawiały w ubiegłym tygodniu żadnych zmian, a jeśli jaką upatrzeć można, to chyba na gorsze. Wszystkie rynki cechowała ogólnie ospałość w popycie, mimo nader małej podaży. Nawet wywóz rossyjski nie przybrał szerszych rozmiarów, jak się tego spodziewać było można. Na naszych targach wyjątkowo, z powodu pory wietrznej, przyjaznej meleniu na wiatrakach, przy nader szczupłych dowozach ceny nieco się podniosły.

Giełdy nie przyjmują jakoś do serca zapewnień pokojowych, a wielkie i liczne bankructwa pojawiające się co chwila, do reszty przynębiły ich usposobienie. Nic dziwnego też, że notowania poranne giełdy berlińskiej ze środy (9 b. m.) przyniosły kurs rubla 179.25 i 179.

Warszawa, d. 9 marca 1887 r. 5<sup>o</sup>/<sub>o</sub>. Listy Zast. (za rs. 100) 101.15.— Listy Zast. ser. II lit. A. 101.50.—Listy Zast ser. III lit. A. 100.90.—Listy Zast. M. W. I ser. 100.—Listy Zast. M. W. II ser. 99.—Listy Zast. M. W. III ser. 98.60.—Listy likwidacyjne Król. Pol. 94.70.—Marka niem. kop. 56<sup>1</sup>/<sub>4</sub>; złoty reński k. 89; frank k. 45; półimperyal rs. 9 k. 5; rubel w złocie k. 56.

Targ Warszawski. Za korzec: Pszenica rs. 8 k. 10.—Żyto rs. 5 k. 10.—Jęczmień rs. 4 k. 40.—Owies rs. 3.—Groch rs. 5 k. 30.

— na stacyi Praga. Za pud: Pszenica rs. 1 k. 25.—Żyto kop. 85.—Jęczmień kop. 89.—Owies kop. 85.—Groch kop. 90.—Gryka kop. 86.



**Order dla sług.** (P. Natalii L. w Warszawie.) Wcale nie żartowaliśmy; istnieje w Prusach order dla sług, które pełniły służbę nieskazitelnie przez lat 40-ści. Order jest pod patronatem cesarszowej niemieckiej; nosi się na piersi. Podobny order honorowy ustanowił książę Sasko-Altenburski dla sług obojga płci, którzy przeszli w jednym miejscu lat 30-ści. Krzyż jest srebrny, ma po jednej stronie cyfrę XXX i napis „Dla wiernych sług”, a po drugiej cyfry wielkiego księcia i jego koronę. Nosi się na wstążce kolorowej. Takie odznaczenia nie są złe w zasadzie lecz budzą ambicyą fałszywą: udarowany sługa staje się zwykle imponującym dla swych kolegów, zdaje mu się, że należy do jakiejś wyższej klasy, nosząc order wypiera się czasem swego zajęcia i opowiada, że został udekorowany za jakieś nadzwyczajne poświęcenie. Minister rolnictwa we Francyi, dogadując słabości swoich rodaków, ustanowił także medal do noszenia na szyi dla długoletnich robotników pracowitych, trzeźwych. Dziwnie wygląda robotnik w błuzie z przypiętym do niej medalem, dziwnie w kraju równości, za jaki chce uchodzić dzisiejsza Rzeczpospolita.

**Drzewa dokoła nowego dworku.** (Młodemu małżeństwu nad Niemna). Kwestya, jakimi drzewami obsadzać budynek, nie powinna być lekceważoną; od dobrego jej rozwiązania zależy nieraz bezpieczeństwo całego mienia. Są drzewa więcej lub mniej sprzyjające szczeniu się szkodliwego robactwa; są wytrzymałe na burze i lamiwe; a co się tyczy ściągania elektryczności z powietrza, to wielka różnica zachodzi pomiędzy różnymi gatunkami. Szczegółów udzieli „Wszehświat” lub „Ogrodnik polski”, my powtarzamy tylko wiadomości za pismami obcemi, że w Anglii pioruny najczęściej trafiają w budynek otoczony dębem, topolą, jesionem. Tam gdzie rosną te gatunki drzewa, piorun omija nawet wieże znacznie wyższe. W Ameryce najlepszymi przewodnikami elektryczności są dąb, orzech, wiąz, sosna. W Niemczech na 265 drzew zaonych piorunem, liczą 165 dębów. Nie ulega wątpliwości, że materya drzewa więcej wpływa na ściąganie elektryczności niż jego wysokość, a także wchodzi w rachunek gatunek ziemi na której drzewo rośnie, klimat i t. p. warunki przyrodnicze. Przedmiot ten jeszcze nie jest zbadanym należycie. Do naukowych wskazówek łączymy życzenia dla młodych małżonków; niech piorun o sto mil od ich dachu huczy; warci są błogiego spokoju ci, którzy z taką troskliwością gniazdko sobie budują.

**Żarty lub fałszywa ambicya.** (P. S. T., st. Porycko.) P. G., właściciel wsi Mokrowca—podług relacyi „Kuryera Warsz.”—wycelowałszy do swęj żony rewolwer stary i, jak sądził, nienabity, zawołał żartami:—„Uciekaj, bo cię zastrzelę!”—Żona, która właśnie uczyła chodzić swego synka, odpowiedziała: „Strzelaj, tylko mi nie przestrasz Michasia.”—I zaraz strzał padł a po chwili zrozpaczony mąż tulił martwe ciało. Spółczując głęboko z nieszczęśliwym człowiekiem, musimy jednak dla przestrogi innych zrobić uwagę, że nikt o tchórzostwo nie będzie posądzony, kto zachowuje ostrożność z bronią, lub kto do siebie celować żartami nie pozwoli. Ostrożność największa w tym razie jest obowiązkiem sumienia, tak samo jak pokonanie fałszywej ambicyi obowiązkiem odwagi. Prawdziwej odwadze nigdy nie braknie sposobności do złożenia dowodów o jej szczeroci.

**Śmierć złotych rybek.** (Właścicielec buduaru, w Krakowie.) Buduar opisany jest tak pięknie, że najbystrzejszy sędzia śledczy nie domyśliłby się powodu ich skonu. Ale z dopisku w liście „szczególniej pięknie wyglądały (owe rybki) kiedy kłosz, w którym pływały, oświecała lampa”, łatwo przypaścić, że rybki zostały zatrute naftą, jaka z lampy do wody ścieknąć mogła. Wystarczyło na to kilka kropel. Sprawdzono już dostatecznie, że nafta truje ryby. Po Woldze np., kiedy przejeżdżają statki naładowane starymi beczkami, z których nafta wycieka, płynąją ryby martwe, naftą zatrute. Ten sam skutek nafta wywiera na inne stworzenia wodne; ryby lub raki naftą zatrute są wstrętne jako pokarm.

**Post-scriptum.**

**Nie możemy i nie chcemy.** (P. K. L. w Kaliszu.) Nie możemy i nie chcemy isć za radą sz. pana: pismo nasze nie jest ani pismem dla ludu, ani pismem



dla rzemieślników lub oficyalistów wiejskich; podstawy jego są takie same jak „Tygodnika ilustrowanego” i „Kłosów”, ma więc za zadanie bawić powieścią, pouczać nauką spopularyzowaną, w obrazkach i artykułach odtwarzać dzieła sztuki i chwilę bieżącą. Ani powiastek dla ludu ani wykładów dla rzemieślników umieszczać nie możemy; klasy za które mi sz. pan przemawia mają swoje organa właściwe: lud wiejski i miejski „Gazetę świąteczną” i „Zorzę”; klasa warsztatowa „Gazetę rzemieślniczą”; oficyaliści rolnicy „Kuryera rolniczego”. W tych klasach posiadamy czytelników b. mało, korzystają one z pism dla nich wydawanych. Czytelnicy nasi należą do inteligencji tej samej, która prenumeruje i czyta różne tygodniki belletrystyczne i naukowe. Ubolewania sz. pana są nieco przesadzone. — **P. K. M. w W.** Rzeczywiście, katastrofa w Herkulanum działa się w r. 79 po narodzeniu Chrystusa a nie przed, jak przez omyłkę wydrukowano w n-rze 9 B. L. Uprzejmie dziękujemy za zwrócenie uwagi. — **P. R. Z. w K.** Podzielamy oburzenie parafian, którzy robią co mogą, aby świętynia ich była utrzymana w należyty porządku a mimo tego oskarżonych o niedbalstwo. Musimy nieraz ślepo wierzyć, nie znając bliżej stosunków. — **Dr. S. w R.** Bóg zapłać za dobre życzenia; jesteśmy pewni, że stosunki nasze będą trwałe i jak dziś pełne zaufania. Tak jest, rozpoczęliśmy 12-ty rok pracy mozolnej; kawał do czasu ale może sił starczy do jubileuszu choćby ówierwiekowego. — **P. J. Niemierowski w R.** List sz. pana przesłaliśmy redakcyi „Wszehświata”; zapewne z dobrej chęci korzystać będzie. — **P. Adam Kosmowski w W.** Z góry dziękujemy za list, który jest dowodem, że kto się kłóci ten się kocha. Żądasz sz. pan od nas samych wiadomości i powieści wesołych, chciałbyś abyśmy wykreślili z Biesiady wszystko co ma smutną minę. Zadanie takie jest w sprzeczności z celem pisma peryodycznego, będącego odbiciem chwili bieżącej; przecież ziemia nie jest rajem a i słońce często zachodzi za chmury—więc bezustanny dobry humor byłby w życiu struną fałszywą. Niepodobna aby pismo stosowało się do wyjątkowych temperamentów swoich czytelników, aby nie wspominać o żadnym niecnym postępku, nikogo nie zgromić a tylko uśmiechać się i do snu miłego kołysać. Nie drażnimy nerwów, nie dajemy wiadomości sensacyjnych, nie silimy się na mruzenie szakala, ale też skowronkiem ciągle być nie możemy. Najserdeczniej dziękujemy za życzenia i rady; są one praktyczne ze względu na jedno i drugie kółko rodzinne, rozmilowane w „gemütliche”, ale do ogółu nie podobna ich zastosować. — Na premiach zagranicą robionych nie szczególnie wychodzimy;



Jenerał Boulanger, francuzki minister wojny.

są to rzeczy b. kosztowne, zwłaszcza teraz, przy niskim kursie rubla i przy ele wysokiem. Wydatek bynajmniej nie wynagradza się przyrostem prenumeratorem—stosunek wypada na niekorzyść naszej kasy; ale trudno, już cofać się nie wypada. — **Dochód ze zwierzyny.** (P. A. L. w Topoli.) Pomysł oryginalny! Chcielibyśmy widzieć jak sz. pani ugania się ze strzelbą za wilkami ale nie dalibyśmy ani grosza za dochód z jej polowania. Takie pomysły nie wyratują gospodarstwa z upadku; kobieta przerodziwszy się w myśliwca, straci powab niewieści a mimo tego nie zapłaci zaległych podatków. Sasiadka, prędkiej dorobi się na miodzie i korniszonach niż nemrodka na wilezurach i lisurkach. Nie wiedzieliśmy, że i okolica Uściługu ma swoje Fru-fru.

#### Przewodnik.

**P. J. B. Machnikowski w Adryanopolu.** Czarkowskiego „Krótki wyk. jeografii” k. 75; Klódena „Jeografia powszechna” rs. 1 k. 15; Konwerskiego „Jeografia powszechna” k. 65; Poplińskiego „Jeografia” k. 75.—**Dodatek wysłany powtórnie.**—**P. J. Rakowski w W.** Warto pamiętać tą powiększyć zbiory wystawowe; nie wątpimy, że będzie przyjęta. — **P. M. Kobylńska w K.** My żadnego poszukiwania na poczęcie rozpocząć nie możemy; potrzebne są dowody, że paczkę wysłano. — **Dołęga w Kielcach.** Nie znając rękopismu, nie możemy dać stanowczej odpowiedzi. Jeśli nie my sami podejmiemy się nakładu, to przedstawimy innego wydawcę. Potrzebna nam jest wiadomość, czy wykład ten obowiązuje wszystkie seminaria, czy tylko kieleckie. — **Sz. koresp. w Kadzidle.** Wdzięczni jesteśmy za fotografie i opis pięknego kościoła w Kadzidle. Pomieścimy w naszym piśmie. — **Sz. ks. G. A. w Włoszczowej.** Wydrukujemy niezawodnie; czekamy tylko na kolej artykułów. — **P. Z. Wit. (Lublin.)** To nie Ludwik XIV lecz książę Kondensz, po bitwie pod Rocroi, patrząc na zwłoki walecznego hrabiego Fuentes, dowódcy wojsk hiszpańskich, zawołał: „Gdybym nie był zwyciężył, chciałbym zginąć jak on!” — **Żółkowski. (P. Ur., Lwów.)** Genialny artysta trzyma się doskonale, gra prawie codziennie—a jak gra! Ale wycieczek artystycznych nie ma w swych zamiarach; już go nikt nie namówi do rozstania się ze sceną warszawską choćby na chwilę. Dziwactwo to ale wielce szlachetne. — **P. kupcowej (Żarki).** Bez specjalnego pozwolenia Zarządu pocztowego, nie wolno sprzedawać marek pocztowych, ani listów otwartych. Pozwolenie każdy otrzyma, kto nie był karany kryminalnie.

*Treść numeru 584 Biesiady Literackiej, ilustracji warszawskiej:* Z Warszawy. — Herb na giełdzie, powieść Jana Zacharyasiewicza (d. c.) — Do poety (wiersz). — Kartka z dziejów literatury, spisana przez naocznego świadka (d. c.) — W lombardzie prywatnym. — Serwiusz Tulliusz. — Jenerał Boulanger. — Niemiecki karabin magazynowy. — Odczyty w Muzeum rolnictwa i przemysłu. — Raptularz tygodniowy. — Gwiazda gaśnie, powieść Klaudyusza Maraisel (d. c.) — Listy polityczne. — Jaka odzież jest najzdrowsza? — Ze skarbca prawd. — Humorystyka — Lamigłówka. — Jak sobie radzić. — Rolnictwo, przemysł, giełda. — Gazetka. — Post-scriptum. — Przewodnik. — *Rysunki:* W lombardzie prywatnym. (Rysunek J. Ryszkiewicza). — Małżonka Tarkwiniusza Pysznego. (Obraz A. Zicka). — Wiara. (Posąg marmurowy E. Ximenesa). — Karabin magazynowy. — Jenerał Boulanger. — Rebus. — „Dodatek powieściowy” zawiera powieść z dziejów Hiszpanii: **Maurytanka**, arkusz 10.

Przypominamy sz. prenumeratorom, którzy wnoszą prenumeratę kwartalnie, aby z odnowieniem jej na kwartał drugi o ile możności pospieszyli. Przesyłka pieniężna wprost na nasze ręce jest dla obu stron najdogodniejszą; pomaga ona do dokładnej i bezwzględnej ekspedycyi. W kwartale drugim drukować będziemy prace zapowiedziane w prospekcie noworocznym. Premium zeszloroczne otrzymają prenumeratorowie razem z premium tegorocznem t. j. z portretem olejnym, wykończonym artystycznie, **J. I. Kraszewskiego.**

Prosimy naszych czytelników, którym wysyłałimy, skutkiem ich żądania, pismo nasze na kredyt, aby raczyli uiścić należność, bez przypominania się naszego listami i odezwaniami. Dłużników zeszlorocznych także upominamy, aby ceniąc swoje zobowiązania prenumeratę opłacili. Nie narzucamy się nikomu, z pismem swoim nigdzie się nie wprasamy ale nie będziemy mogli pokryć milczeniem niesumienności tych, których prośbie zadość uczyniliśmy.

Naszym nakładem wysła powieść historyczna, z czasów Jana Sobieskiego, p. t. **Krzyżowcy**, przez Aëra. Krytyka i czytelnicy B. L., w której powieść pierwotnie była drukowana, przyznali jej pierwszorzędne zalety. Wydanie staranne a tanie: jeden tom duży dla prenumeratorów nadsyłających pieniądze wprost do nas rs. 1 kop. 50, z przesyłką rs. 1 kop. 65; cena księgarska rs. 2.

**Adres: Księgarnia i Redakcyja Biesiady Literackiej w Warszawie, ulica Chmielna Nr 26.**

Cena prenumeracyjna w Warszawie: rocznie rs. 5; półrocznie rs. 2 kop. 50; kwartalnie rs. 1 kop. 25. Na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rs. 6; półrocznie rs. 3; kwartalnie rs. 1 kop. 50. Za dodatek książkowy z powieścią historyczną należy się jednorazowo rs. 1 kop. 50, z przesyłką rs. 2; lub ratami kwartalnymi po kop. 38; z przesyłką kop. 50. Prenumerata zagranicą jest taka sama; potrzeba tylko ruble i kopiejki zamienić na monetę obcą, przyjmując kop. 50 za markę a kop. 80 za złoty reński. Prenumeratę nadsyłać można wprost do naszej redakcyi w monecie krajowej lub obcej. Sumy drobne przyjmujemy w markach. Cena numeru pojedynczego kop. 15, z Dodatkiem kop. 20. Za zmianę drukowanego adresu kop. 20. Za rękopisma nadsyłane bez zastrzeżenia zwrotu Redakcyja nie odpowiada.

Дозволено Цензурою. Варшава, 24 Февраля 1887. — Biesiada Literacka wychodzi w każdy piątek. — Druk Emila Skińskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

Biuro Redaktora-Wydawcy **Władysława Maleszewskiego:** Chmielna Nr 26.



tak przyjemną jak powieści Dumasa, bo na te ciężkie czasy tylko rzeczy prawdziwie pożyteczne (t. j. przyjemne) kupować można." Tych obywateli z pod ciemnej gwiazdy wyprowadzam na widownie kronikarską jedynie dlatego, aby mieć sposobność dobitnie jeszcze raz powtórzyć adres „Schronienia dla wysłużonych nauczycielek”, które otrzymało pozwolenie rekomendowania guwernantek i nauczycielek. Schronienie ma swoją zaciszną siedzibę przy ulicy Kruczej, pod n-r 7. Proszę adres ten wypisać sobie na marginesie kalendarza, aby mieć go pod ręką, kiedy zajdzie potrzeba sąsiadowi poradzić, gdzie się ma udać po dobrą opiekunkę dzieci.

Gdybym pisał humoreskę konkursową, wziąłbym sobie za treść utworu pytanie: co to jest nauczycielka, guwernantka albo bona *dobra*; zabawne są opinie o tej dobroci, wygłaszane przez rodziców, którzy chcieliby dla swoich pociech dostać coś doskonałego. Nauczycielka dobra, w pojęciu jednych, to kobieta z manierami światowemi, która zwiedziła Paryż, Londyn a przynajmniej poznała Berlin i Wiedeń; inni spojrzawszy na twarz rumianą, na usta wesołe, czy wygadane — są zadowoleni, że nauczycielka nie będzie sensatką, nie zanudzi dzieci, lecz da im naukę w przyjemnych pastylkach; a ileż to jest rodzin, które przyjąwszy do swego domu poraz pierwszy guwernantkę, wnioskuje o jej rozumie z uczesania głowy, z ilości sukien które z sobą przywiozła, z gracików toaletowych które na stole porozkładała, z pierwszego śmiałego lub lęklivego odezwania się, z napiwku danego fernalowi, a nieraz z samej powierzchowności tłumoka czyli ze skóry cielecjej lub bawolej. Te pierwsze sygnały decydują zwykle o szacunku, jakim rodzice obdarzają wychowawczynię ich dzieci; nie czekają na rozpoczęcie lekcji, nie zapytają jakie książki z sobą niezajoma przywiozła, bo już domyślili się z włosów, policzków, z pierwszego odezwania się i z garderoby, czy nauczycielka jest dobrą, czy też nie warta.

Przyjąwszy kucharza nie zadawaliśmy się jego białą czapką ani szerokim fartuchem, ale czekamy z wyrokiem na pierwsze baranie kotlety lub na pierwszy barszcz z rurą; furmanowi nie ufamy choćby miał wasy jak u suma i trzaskał z bata jak piorun, ale czekamy aż nas w noc ciemną przewiezie przez las gęsty lub przez groblę idącą ponad głębią jeziora; wołu nawet pokaznego nie kwalifikujemy do dobrych, dopóki nie zobaczymy jak chodzi w pługu—o jednej tylko nauczycielce wyrokujemy z góry, nie czekając na rezultaty nauki.

Tę pewność siebie rodzice opłacają przyszłością swych dzieci—zaufawszy kantorowi stręczeń, oddają łatwowieczne serca, czyste jak biała karta umysły dzieci swoich pod kierunek niedbały a często występny. Patrzą i liczą ile guwernantka posiada sukien i okryć, po dwóch dniach wiedzą najdrobniejsze szczegóły tyżące się jej stosunków światowych, jej gustu i upodobań, wiedzą jakie ma zapatrywania na politykę europejską i za jakimi perfumami przepada, ale nie wiedzą jakie książki z sobą przywiozła; oglądając i przewracając w jej garderobie, nie mają ciekawości podnieść okładkę książki i zobaczyć co pod nią jest nadrukowane.

Ileż to guwernantek wytrawnych, cudzoziemek wytresowanych, wprowadziło do rodzin naszych najzłobniejsze zasady, najwstrętniejsze powieści, pod patronatem książki do nabożeństwa lub jakiegoś dzieła moralnego, które guwernantka kładzie na oczach, dopóki nie zdobędzie zupełnego zaufania rodziny.

Przeglądać cudze rzeczy, szperać w cudzych kufrach jest rzeczą tak brzydką jak czytać cudze listy; nawet rewizja potajemna w kufrze kucharki bardzo źle mówi o godności pani, a niestety w kufrach guwernantek cudzoziemek nieraz mieści się pełna puszka Pandory, którąby należało wysypać w jaki rów, zanim powóz z damą stanie przed wiejskim dworem.

Kto chce uniknąć tej brzydkiej rewizji i zarazem być spokojnym o moralność nowego gościa, temu zalecamy pośrednictwo „Schronienia dla nauczycielek” przy ulicy Kruczej, pod n-r 7. Szanowna prezesowa tej filantropijnej instytucji, oraz szanowne opiekunki naraziły sobie całą klikę kantorów stręczeń, którym szło tylko o to, aby guwernantkę wypchnąć, wziąć jaknajwiększe poręczawicze od jednej i drugiej strony.

Możemy być pewni, że nauczycielka rekomendowana przez czcigodną przełożoną p. Agnieszkę Helwichową nie zawiedzie naszego zaufania, byleśmy i my nie zawiedli zaufania rekomen-

dującej. Nad stosunkiem między nauczycielką przedstawioną przez Schronienie i jej chlebodawcami czuwać będzie opinia, której bezkarnie deptać nie można.

Niechże i kandydatki korzystają z tego ułatwienia nowego, niech prosby swoje o zajęcie przesyłają na piśmie lub przedstawiają osobiście, niech unikają o ile mogą kantorów, które po większej części są doradcami niebezpiecznymi.

Obok przysługi dla innych, z takiego pośrednictwa korzystać będzie „Schronienie dla nauczycielek”—instytucja, która zaszczyt przynosi naszemu społeczeństwu; szczupłe jej fundusze powiększą się umiarkowaną opłatą od interesantów.

Od dziś więc nie odpowiadamy na listy ani wychowawczyń, ani rodziców, którzy udawali się do nas z zapytaniem, jak sobie radzić; nigdy nie odmawialiśmy wskazówek lecz odpowiedzialności przyjmować na siebie nie mogliśmy... od dzisiaj, kiedy istnieje tak poważne i doświadczone pośrednictwo, usuwamy się zupełnie, powtarzając poraz trzeci: Krucza n-r 7-my.

Na drugim krańcu Warszawy, która w niewielkim swoim obrębie pomieścić potrafiła tyle instytucyj filantropijnych, tyle dobrych uczynków, tyle serc szlachetnych, wznosi się także schronienie, ale jakże odmienne i fizyonomią i dziejami swemi od „Schronienia dla nauczycielek”... W domu przy ulicy Kruczej cicho jest jak w klasztorze, na twarzach zmęczonych ciężką pracą po cudzych kątach widzisz pogodę ducha, zadowolenie, jakie daje spełniony obowiązek; niema tam kalectwa fizycznego, jest tylko bezsilność, niema upadku umysłowego, jest tylko znużenie z powodu sędziwego wieku lub nadmiernej pracy—ale słońce jesienne nie schodzi z nad dachu przytułku.

Jakżeż zazdrościliby tego błędnego promyka mieszkańcy szpitala Jana Bożego, przy ulicy Bonifraterskiej, których nawet podczas wiosny otacza zima, którym w uszach brzmi krzyk waryata wówczas, kiedy miasto całe spoczywa w śnie błogim. Nie będą podejmował zasłony, która wzrok wasz oddziela od cel zamieszkałych przez nieszczęśliwych szaleńców; im sprawiłoby to może przyjemność mieć więcej widzów, ale nam serce się zawsze na długie dnie ścisnęło, kiedyśmy musieli zetknąć się z królami w papierowej koronie, z biedakami, którzy swoje kaftany szpitalne uważają za pancerze rycerskie, poświęcone krwią bohaterską, przelaną w obronie wielkiej sprawy. Unikając bólu, wymijamy przytułki obłąkanych; nie mogąc pomódz, nie mamy odwagi patrzeć w oczy roziskrzony ogniem, który ciało i duszę spopielił.

Cóżby z nieszczęśliwymi się stało, gdyby tak samo wszyscy oszczędzali sobie bolesnego wrażenia i od obłąkanych uciekali, gdyby nie było ludzi poświęconych a odważnych, gdyby nie było serc miłosiernych, kapłanów i lekarzy... Silenie się na poświęcenie nie wyda nigdy takich dobrych rezultatów jak poświęcenie do którego ze snu zrywa się Siostra miłosierdzia, jak poświęcenie kapłanów w których ślady wstąpił czcigodny ksiądz Kalikst Nawarski, kapelan szpitala.

I w ponurym domu waryatów trafia się czasem dzień pogodny, na twarzach zubożniałych zjawia się uśmiech serdeczny, a w oczach błyszczy łza rozrzewnienia — taki dzień mieszkańcom szpitala dał jubileusz sędziwego kapelana, który ukończył 50 lat służby przy ołtarzu i w celi szaleńców. Pięćdziesiąt lat na posterunku tak strasznym—to poświęcenie o jakim nie mamy pojęcia; i o wrażeniach spowodowanych trzęsieniem ziemi także nic nie możemy powiedzieć, ale zdaje nam się, że łatwiej patrzeć przez minutę na walące się mury, niż przez minutę być sam na sam z obłąkanym i uspakając tego, który czyha aby nam serce z piersi wyrwać i poszarpać.

Przez pół wieku kapłan jubilat służył tym, którzy go mieli za swego wroga, którzy bali się go jak boją dozorców, którzy zawsze gotowi byli rzucić się na człowieka, co uspakajał ich i pocieszał jak ojciec dzieci — obietnicą nagrody lub groźbą kary.

Ks. Nawarski to ostatni członek zakonu Braci Miłosierdzia; zakon przestał istnieć ale jego sługa nie przestał swego apostołstwa i wybrał najcięższe, najniebezpieczniejsze. Ci którym kapłan najwięcej dobrego czynił, najmniej o nim mogliby powiedzieć—bo to szaleńcy, ale jakże go kochają, jak wielbią te najnieszczęśliwsze istoty, które pogrążone w umysłowym kalectwie, chwilami posiadają świadomość swego nieszczęścia i rozumieją to, co się do nich mówi. Bywały wypadki, że chory po



odzyskaniu zdrowia bał się opuścić szpital bo był pewnym, że zdrowie dał mu nie lekarz ale kapłan, więc skoro kapłana braknie—szaleństwo znowu powróci.

A ileż wzruszających przykładów mogliby przytoczyć lekarze szpitala. D-r Płaskowski, którego zasługi jako filantropa, lekarza i profesora dotychczas niedość oceniło społeczeństwo, był długoletnim współpracownikiem ks. Nawarskiego; w najtrudniejszych razach udawał się do niego po pomoc duchową dla chorego; nieraz ten co rozbijał mury, rzucał się i pienieł—pokorniał jak dziecko na widok kapłana bezbronnego i ręki wzniesionej ku niebu. I terazniejszy lekarz szpitala d-r Rothe uważa kapelana za swego towarzysza, i on z pomocy jego korzysta; szanowny lekarz uczcił gorącą podzięką sędziwego Jubilata podczas uroczystości—i prosił go o błogosławieństwo dla swjej pracy.

Wymowny kaznodzieja ks. Jungowski powiedział dużo o wielkiej miłości, powiedział pięknie ale tylko jubilat mógłby spisać swój żywot ciekawy. Takię spowiedzi, ani pamiętników nie spodziewajmy się od kapłana — „spełniłem swój obowiązek i nagrodzony zostałem hojnie, kiedy mając lat ośmdziesiąt jeszcze kocham ludzi tak samo jak wówczas, kiedy im dopiero poznawał”—odpowiedziałby starzec namawiającym go do opisanja swego apostołstwa. Odpowie on tak samo, kiedy ostatni raz stanie na szpitalnej placówce.

Z ręki ś. p. Wilhelma Troschla lutnia wypadła — znakomity artysta, zacy człowiek, nieskazitelny obywatel, pełen godności pracownik zmarł po długiej chorobie.

Mówią o aktorach, że ze zejściem ze sceny ludzie o nich zapominają; bywa tak rzeczywiście ale tylko z tymi, którzy o sobie mogą powiedzieć: żyłem na to, aby śpiewać i grać, aby zbierać oklaski i pieniądze. Ś. p. Troschel do nich nie należał; był on podporą opery polskiej, śpiewał i grał mistrzowsko, ale serca swego nie przykuł do kulis—umiał czuć, kochać i poza sceną, miał bogów wyższych nad oklask, nad zarobek, nad entuzjazm, jaki świetnym swoim głosem i postawą piękną wzbudzał w publiczności.

Pamiętam te wieczory rozkoszne, kiedy występował Dobrski, Troschel, Rybacka, Leśkiewiczowa, Rivoli... i nie dziwię się sobie, że obiad zastępowałem suchą bułką, aby tylko oszczędzić na bilet; tyle lat minęło a jednak i dziś powtórzyłbym to samo, gdyby oni znowu zaśpiewali Halkę a ja nie miałbym gotówki na kupienie biletu paradyzowego.

Dziś jeszcze czujemy wdzięczność dla artysty, który nas raczył swoim talentem; ale to nie tylko talent tę pamięć serdeczną utrwalił—ś. p. Troschel pracował na sławę sztuki naszej a opuściwszy scenę, zasługiwał się jako kompozytor i nauczyciel.

Przed kilku laty pismo nasze pomieściło wizerunki artystów opery polskiej z czasów Rivoli... żył jeszcze wówczas Dobrski, żył Troschel... dziś już żadnego z nich niema. Czy mają godnych następców?... nie badajmy tego w tej chwili, ale odmówmy wieczne odpocznienie na grobie człowieka, któregośmy wszyscy kochali i szanowali.

Taki tylko artysta patrzy bez zazdrości na wschodzące talenta i cieszy się, że po nim nie będzie potopu. Ś. p. Troschel miałby powód do tej radości, słysząc o powodzeniu „Larika”, przedstawionego na scenie krakowskiej; „Larik” to dramat a nie opera, ale ś. p. Troschel czcił sztukę rodzinną w każdej formie.

P. Gadomski autor „Larika”, nagrodzonego na konkursie warszawskim, należy do ludzi młodych, a tragedia jego jest dziełem pierwszym; zapowiedź to pomyslna. Ma przed sobą czas i dojrzałość, a z sobą talent prawdziwy. Teatr krakowski zrobił więc więcej niż mógł, bo wystawił tragedję zbudowaną dla scen bardzo bogatych w talenta, dekoracje i inne środki materyalne—wystawił i nie skarykaturował a nawet podobno z niejednym szczegółem popisał się znakomicie... Więcej od sceny zasłużonej wprawdzie ale niezasobnej żądać nie można; tembardziej, że przedstawienie krakowskie zachęciło autora „Larika” do rozpoczęcia nowej pracy dramatycznej. Jeżeli kwiat się rozwija, rośnie i woni nie traci—mniejsza o to, czy mu w tém pomaga słońce, co wisi nad nami, czy aparat elektryczny, ukryty w piwnicy.

Sęp.

## HERB NA GIELDZIE.

POWIEŚĆ

Jana Zacharysiewicza.

(Dalszy ciąg.)

Teraz był u celu swoich życzeń. Pan Achil został przy stole zapalwszy sobie cygaro, a pani Babeta zaczęła się pilnie przypatrywać ilustracyom.

— Czy pan taki muzykalny? — zapytała Aurelia gościa, który usiadł tuż przy niej.

— Lubię muzykę — odpowiedział pan Józef—usposabia ona do marzeń.

— Żałuję, że moje egzercycye nie odpowiadają takim celom.

— Możesz je pani zmienić na piękniejszą melodyą.

— Nie mogę, ponieważ wypełniam tylko rozkaz lekarza.

— Cóż to za nowa recepta?

— Czuję czasem drętwienie w palcach; lekarz zalecił mi w tym celu jednostajny, kilkogodzinny ruch ręki.

— Aa!...

— Możemy jednak przy tém rozmawiać; wszak to pana nie detonuje?

Pan Józef czytał nieraz o tém, że różne wiersze deklamują się przy fortepianie; dziwną mu się wydała rozmowa poufna przy tych jednostajnych ruladach. Nie było jednak wyboru.

Zaczął opowiadanie swoje od czasów, w których jeszcze nie znał Pałacysk, ani panny Aurelii, kiedy mieszkańcy tego czarującego ustronia byli dla niego mytem. Słyszał tylko coś o nich, jak się słyszy o niebie i wybranych. W tym czasie bywał często w Konopówce i tam poznał Helenę; później sprawy publiczne zbliżyły go do mieszkańców Pałacysk...

— Tu poznałeś pan owych mytycznych mieszkańców—wtrąciła z uśmiechem Aurelia, grzmocąc dalej klawiszę.

Pan Józef przyznał się do tego i rzecz dalej prowadził.

Uśmiech Aurelii i rulady przeszkadzały mu trochę, ale już na to nie zważał; mówił o przyjemnych chwilach spędzonych w cichej Konopówce. Jakiś wichur złowrogi porwał go ztamtąd i uniósł w powietrze wysoko... wysoko...

— Czy jeszcze wyżej?—zapytała Aurelia posuwając rękę do tonów coraz wyższych.

Pan Józef uśmiechem odpowiedział na ten żart i opowiadał dalej. Gdy spojrział z góry na dół, obaczył Pałacyska i rusalkę jasnowłosą...

Aurelia zacięła usta, aby nie parsknąć śmiechem; p. Józef miał teraz postawę komiczną. Przywykły do szabli, strzelby i pistoletów, niebardzo był biegły do szermierki z kobietą salonową.

— Dlaczego się pani śmiejesz? —zapytał gniewnie.

— To przecież powinno być tryumfem dla pana... opowiadasz rzeczy bardzo zabawne!

— Cierpiałem wiele przy tych zabawnych rzeczach.

— Być może; i Molier, który takie zabawne komedye komponował, miał być bardzo nieszczęśliwym.

P. Józef zamilkł, bo jakoś stracił wątek myśli. Na szczęście przypomniał sobie biednego Hulaja; zaczął o nim opowiadać. Mówił o jego niezwykłym przywiązaniu, jak po całych dniach wyczekiwał go, gdy na jarmark wyjechał, jak w dniu pojedynku szukał go po całej okolicy... jak go wreszcie pies na placu boju znalazł i za niego życie swoje oddał... Zaczął ztąd wywodzić, czém powinno być prawdziwe przywiązanie a jak nikczemnym wyglądałby wobec tego psa człowiek...

Rulady ustały nagle. Aurelia wstała i z dumą wyrzuciła głowę do góry.

— Pozwól pan — rzekła do niego sztywnie — że i ja nie będę tak okrutną i nie zaczekam aż się pan na jakie manówce zapędzisz; poznałam pana jako narzeczonego, a to dawało mi może więcej swobody w rozmowie. Wnosił pan z niej to,



o czém jam nigdy nie myślała. Otwarcie i szczerze panu to wyznaję i sądzę, że pan na tém poprzestaniesz. Nad biednym Hulajem ubolewam serdecznie... a teraz wróćmy do rodziców.

I wykreśliła się zgrabnie na małym obcasiku, a p. Józefowi nie zostało nic innego, jak podążyć za nią z miną wcale nie bohaterską. Ogarnął go wstyd, że tak nierozsądnie sobie postąpił, że myślał o czémś, co nigdy nie istniało. Tyle mu tylko zostało przytomności umysłu, że się mógł z wszystkimi pożegnać i do wózka dostać.

Na wózku opuściły go prawie zmysły.

## X.

Noc była dosyć ciemna. Wózek toczył się jakby w ciemną otchłań; zdawało się, że za chwilę spadnie i zniknie w przepaści. Ani furman, ani pan jego nic nie widzieli przed sobą; wiatr zachodni dmuchał im w uszy, ale żaden nie słyszał go.

P. Józef widział ciągle przed sobą sarkastyczny uśmiech Aurelii, słyszał jęć rulady; widział jakieś maskary wyszczerzające do niego zęby połamane, a gdy oczy zamykał, słyszał ich śmiech, który aż do szpiku się wciskał.

Wstydział się niefortunnej roli, jaką odegrał. Wstyd ten był dla niego boleśniejszy od największego nieszczęścia. Wolałby był nogę lub rękę stracić w pojedynku niżeli taką odprawę dostać. Był pewny, że w Pałaczkach życzą sobie, aby z Aurelią się ożenił, że Aurelia sama do tego zmierzała, a nawet wyraźnie mu się oświadczała; tymczasem było to proste złudzenie. Nikt o tém nie myślał, jak to wyraźnie mu powiedziano; co gorsza, nie rozumiano jego słów; on chciał wycofać się z Pałaczk, chciał zřęcznie powiedzieć im, że pozostaje wiernym Konópówce... tymczasem wzbudził podejrzenie, że się oświadcza i z góry dano mu odkosza.

Rozpaczliwa sytuacja! Szczęściem, że to nie stało się tak wyraźnie, że przynajmniej ludzie o tém mówić nie będą.

Nie umniejszało to jednak jego boleści. On wiedział o tém i nie mógł sobie przebaczyć. Gdyby się mógł podzielić, jak niedawno, na dwóch Józefów, wyważyłby niezawodnie jednego na pojedynek i na miejscu zabił.

Było to jednak niemożliwem. Gdy wózek po kamieniach do góry podskakiwał, czuł wyraźnie, że w nim coś kołatało, jak dwa ziarna w jednym orzechu; nie mógł ich jednak od siebie rozdzielić i za karę musiał je oba zawieźć do domu.

Nachodziły go z tego powodu różne kontemplacje poważne, jakich dawniej nie miewał.

— Dyabeł—myślał sobie, gdy droga była równiejsza—dyabeł rzucił złe ziarno we mnie. Pielęgnowałem to ziarno, aż chwast się z niego zrobił. Jakże wyrwać to zielsko, aby ludzie nie widzieli?... Przypominam sobie, jak pan Marcin posiał jęczmień, a urodziła mu się gorczyca. Śmieliśmy się z niego, że chwasty sieje, a on tak się tego wstydział, iż kilka tygodni na targ do miasta nie przyjeżdżał... Czyż ze mnie nie będą się śmiać, że także zamiast jęczmienia zebrałem gorczycę?

Do tego przyłączyły się jeszcze wyrzuty, że Helenie wielką krzywdę uczynił. Zachwiał się w sentymencie dla niéj i Bóg tylko strzegł, że z nią nie zerwał. Ona zwyciężyła wprawdzie w jego sercu, ale fatalne nieporozumienie w Pałaczkach zaciemniło to zwycięstwo; dałby rękę sobie uciąć, gdyby to wszystko nie było się stało, gdyby nie potrzebował zwyciężać, a Helenę kochał bez żadnych przeszkód jak dawniej. To tylko pocieszało go, że Helena o tém się nie dowie, że zaraz jutro rano sam jęć tę sprawę wyjaśni i razem śmiać się będą.

Mijając ostatni potok, który granicę jego majątku stanowił, uczuł w sobie talent dyplomatyczny, który pozwoli mu z łaską Boga wybrnąć z téj śmiesznej sprawy. To dodało mu otuchy. Spokojniejszy i w lepszym nieco humorze wjechał przez bramę na dziedziniec.

To, co teraz ujrzał przed sobą, zaniepokoiło go. Było już dosyć późno, a okna dworku jaśniały światłem. Drzwi nie były zamknięte; brytany skomlały na uwiezi...

W jedném oknie widać było majora w czarnej peruce, jak z impetem po izbie chodził i kłębami dymu buchał. Przy stole siedziała matka z załamanymi rękami i jakby nad jakim nieszczęściem płakała.

W drugiem oknie widać było trzy ciotce, sztywnie przy stole siedzące. Machinalnie dziergały jakieś robótki ale ich twarze miały nastrój tragiczny. Dwa podlotki, sierotki pozostałe po zmarłym stryjaszku, przypatrywały się wystraszone tym twarzom surowym. Anny nie było między niemi, zapewne znajdowała się w swoim pokoiku.

Teraz dopiero spostrzegł p. Józef tuż koło siebie postać kobietę, ciemną chustką owiniętą.

— Czy to ty Józefie? — zapytała.

— Cóż tam znowu! — zawołał p. Józef wyskakując z wózka.

— Wielkie nieszczęście!

— Tam do kata! Czy się dzisiaj worek ze złem rozwiązał?

— Nikt się tego niespodziewał!

— To prawda... ani mi przez głowę przeszło!

Pan Józef był pewny, że siostra już wie co się w Pałaczkach stało; w sam czas przyszło mu na myśl, że o tém w żaden sposób jeszcze wiedzieć nie może.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## DO POETY.

O duchu młody!... Ciebie nie napoi  
Wino rozkoszy — tobie złota dźwięk  
Będzie jak kajdan pozłacanych brzęk...  
On zrani serce — a ran nie zagoi.

Ty uznojony trudem ziemskiej pracy,  
Będiesz wciąż życiem połowicznem żyć...  
Bo wy poeci — wy wszyscy jednacy —  
Wam trzeba śpiewać, i tęsknić, i śnić.

Wam trzeba lecieć wciąż wyżej a wyżej  
Do źródła ofiar, i natchnień, i łask;  
Gdzie Boga bliżej, i gdzie prawdy bliżej,  
Gdzie ideału nieśmiertelny blask.

Więc duchu młody! znoś piórka i puchy  
Na gniazdo sobie pośród bratnich gniazd;  
Lecz choć cię ziemia okuje w łańcuchy,  
Ty wzrokiem sięgaj do słońca i gwiazd!

To darmo — człowiek nie stwarza sam siebie.  
Czyjém zadaniem poeta i znój —  
Stopą na ziemi ale duszą w niebie,  
Z pieśnią jak rycerz niech idzie na bój!

A. F.

## KARTKA Z DZIEJÓW LITERATURY.

SPISANA PRZEZ NAOCZNEGO ŚWIADKA.

(Dalszy ciąg.)

Młodzież uniwersytetów petersburskiego, kijowskiego i moskiewskiego gromadziła się chętnie na porankach niedzielnych u Wacława Przybylskiego. Dużo tam było lekkomyślności prawdziwie młodzieńczej, dużo śmieszków z ludzi staroświeckich; niedzielne to grono możeby nie zasługiwało na wzmiankę, gdyby śród pustactwa nie świtały tam niekiedy myśl i słowo bardzo poważne o najżywniejszych kwestjach społecznych, o nauce, o sztuce wreszcie. A jako dowód praktyczności tych myśli, przypomina mi się w téj chwili inscenizacja dramatu Syrokomli, p. t. „Kacper Karliński”. Pierwotny układ Syrokomli był prawie tylko dialogowanym poematem lirycznym, a jeżeli później przedstawiony był w teatrze wileńskim i jeżeli wzbudził zapal widzów, to Syrokomla w znacznej części obowiązany jest owym uwagom na porankach niedzielnych robionym, dzięki którym po przerobieniu rdzennem, sztuka nabrała pewnej żywości i skupienia dramatycznego.

Ogniska wszakże postępowe i demokratyczne reprezentowane były głównie na zebraniach wtorkowych u Syrokomli i sobotnich u Kirkora. U Syrokomli gromadzili się przeważnie



artyści-malarze, artyści dramatyczni, jak: Dąbrowski, Malewski, a zwłaszcza oboje Nowińscy. Bywał tu i Moniuszko, a ze sfer literackich Horain, Szlagier, Walery Tomaszewicz, Jan Mikulski, W. Korotyński, W. Przybylski, K. Tamulewicz i bardzo wielu innych. Ognisko to nie miało jednej, stale określić się dającej cechy, z powodu zbyt wielkiej różnorodności osób, tu różniczasowo bywających, wszakże główną charakterystyką jego było usposobienie do zaprzęgnięcia się sprawami czysto-literackimi i wreszcie artystycznymi.

Liczne grono osób, zbierających się na sobotnich wieczorach u Kirkora, przedstawiało obraz największego urozmaicenia. Spotkać tu można było najbardziej sprzeczne typy psychiczne, począwszy od ekscentrycznego, gwałtownego deklamatora swoich tragedj i napisanych zawczasu w domu... improwizacyj, Pawła Kukolnika, a skończywszy na wiecznym drzemającym Chruścickim, amatorze literatury; od egzaltowanych młodych profesorów gimnazjalnych W. Przybylskiego, Kaz. Szlagiera, poety Jana Mikulskiego do ostrożnego, eleganckiego, na szali przyzwoitości światowej wszystko ważącego, d-ra Juliana Titiusa i zimnego racjonalisty, prezesa d-ra A. F. Adamowicza; od serdecznie dowcipkującego Syrokomi i złośliwego Horaina do wiecznego mruka lubo niekiedy ostrego krytyka, uczonego prałata, Mamerta Herburta. Dowcipnisiami à la Węgierski, z urzędu niejako, byli: Eustachy Tyszkiewicz i Ignacy Chodźko, jaskrawość zaś obrazków i dwuznacznych scen, przez nich kreślonych, łagodził słodki, wyrozumiały, sympatyczny, pełen elegancji światowej i zarazem powagi naukowej — Michał Baliński. Resztę ubarwienia tego kalejdoskopu światowego stanowili artyści, począwszy od sztywnego akademika Zamęta, a skończywszy na prostodusznym, nieśmiałym autodydakcie rzeźbiarzu Ostrowskim.

Ale nietylko duchowni, uczeni, artyści, nauczyciele gimnazjalni tutaj się gromadzili; owszem, spotkać tu można było wszystkie przejezdne znakomitości, jako też ze wsi, przedstawicieli arystokracji rodowej, jak: Ireny ks. Ogiński, marszałkowie Lubański i Mieczysław Tukalło, Maryan hr. Czapski, Adam hr. Plater i inni. Najwydatniejszą wszakże postacią z całego tego grona był niezaprzeczenie Mikołaj Malinowski. W chwili dobrego usposobienia, albo wprost z okoliczności wątku prowadzonej rozmowy, skoro znakomity ten historyk zabierał głos, naraz milkły choćby zgiełkliwe pogawędki grup pojedynczych, i wieczór literacki zamieniał się na istotną prelekcją historyczną. Obdarzony łatwą i jasną wymową, pełną prostoty i wdzięku, celujący olbrzymią pamięcią, Malinowski w opowiadaniach swoich cytował całe szeregi dat historycznych, rozwijał rozgałęzione drzewa genealogiczne, z dokładnością tak subtelną, jakby je z karty lub z druku odczytywał. Odnotowane opowiadania te byłyby cennym materiałem historycznym, zwłaszcza obrazujące stosunki Węgier do Polski, co stanowiło główną specjalność Malinowskiego. Próbowaliśmy też niejednokrotnie zapisywać te opowieści jego; ale niestety, nie było wśród nas ani jednego stenografa, ani jednej osoby szybko i dokładnie notować umiejącej. To też cenne te jego opowiadania nazawsze przepadły, może z niemalą stratą dla literatury, gdyż późniejsze okoliczności przykre, a ostatecznie utrata wzroku, nie pozwoliły mu osobiście użytkować olbrzymich materiałów i olbrzymiej wiedzy historycznej. Baczny na wszystko, gościnnie gospodarz, kierowany wyborską znajomością ludzi, cieszył się, że tak różnostronne talenta i uzdolnienia skieruje wkrótce do wyższych celów; w tym właśnie czasie switały w umyśle Kirkora szerokie plany.

Wszystkie wspomniane wyżej koła i kółka literackie i towarzyskie, jakkolwiek niemal różniące się w zasadach i ideałach swoich, jakkolwiek niekiedy nawet waśniące się skrycie lub jawnie, to przecież miały wspólnego, co na każdym kroku jeszcze ślady wielkiej przeszłości naukowej przedstawiało, t. j. społeczne i naukowe stanowisko b. uniwersytetu wileńskiego; a serdecznym ogniwem, wiążącym owe czasy świetności europejskiej z chwilą bieżącą, była żyjąca jeszcze i goszcząca wśród grodu Giedyminowego staruszka — Maryla. Większość poważniejszych naówczas pracujących ludzi byli to wychowawcy b. uniwersytetu, nawet i profesorowie, jak np., oprócz dwu wspomnianych wyżej, prof. Hryniewicz, a zwłaszcza stary samotnik, surowy do pedantyzmu przestrzegacz czystości polszczy-

zny, a znakomity szperacz i krytyk historyczny—M. Homolicki.

Nie mam zamiaru pisać tu zupełnego życiorysu ś. p. Kirkora, natomiast chcę podać tylko krótki rys największej jego czynności literackiej i redakcyjnej w tych latach, w których naoczny był świadkiem.

Starodawny ród Kirkorów zubożały był od dość dawnego czasu tak, że ojciec ś. p. Adama, urodzonego na Białej rusi w r. 1818, nie posiadał już dostatecznych środków do należytego wykształcenia wielce uzdolnionego dziecka. Kolejną losów młody Kirkor dostał się do Wilna, gdzie się kształcił w Instytucie szlacheckim i zasób wiedzy swojej musiał ograniczyć na skromnym patencie Instytutu, który pod względem naukowym prawie niczem się nie różnił od zwykłego gimnazjum. Poczuciwszy jednakże istotne zamiłowanie do nauki, a nie mając odpowiednich środków do studyów uniwersyteckich, musiał w dalszym ciągu sam nad sobą pracować, jako autodydakta, co tém większy zaszczyt mu przynosi, że godziny pracy naukowej przeznaczone należało odrywać od zajęć biurowych. Pracy tedy miał wiele, ale i wytrwałości wiele; musiał uzupełniać najelementarniejsze podstawy naukowe, jak historia, łacina, i t. d., ówczesny bowiem stan nauki gimnazjalnej był najopłakawszy. Zrobił więc, co mógł, ale wszystkiego zrobić nie zdołał, i to mu często boleśnie uczuć się dawało, a zwłaszcza zupełny brak znajomości języków obcych; dopiero w dojrzałym wieku, będąc już znanym jako autor i wydawca, poduczył się nieco języka francuzkiego. Szczęściem, obrał dla siebie taki kierunek pracy naukowej, że się obywać mógł znanymi sobie językami słowiańskimi i łaciną, pracował bowiem nad historią, nieco nad statystyką, a wreszcie nad archeologią krajową. Wszakże nie sama tylko, bezwzględnie wzięta nauka, zajmowała go już w pierwszych latach młodzieńczych trudów, bezświadomie bowiem może dążył do przyszłego powołania swego, t. j. do rozpowszechniania wiedzy, popularyzowania jej, skupiania sił umysłowych, wielce rozproszonych, słowem, do zawodu publicysty. Miał na to w owym czasie gotowe wzory przed oczyma: Wilno bowiem po kasacie uniwersytetu nie drzemało pod względem umysłowym, a objawami tego życia były „Wizerunki i roztrząsania naukowe” i inne, które w dziejach naszych pism peryodyczno-naukowych zajmowały i zajmować będą pierwszorzędne stanowisko. Kirkor jednak nie mógł się modelować na tych wzorach, więcej bowiem do jego usposobienia ówczesnego i do stosunków literackich przemawiały owe liczne, w dziedzi wte dy będące noworoczniki, jakieś *Biruty*, *Znicze*, *Kimenbranzj* i t. d. jako więcej popularne i dostępne ogółowi. W tym też duchu wydaje on poraz pierwszy wr. 1843 „*Radegasta*”, pismo tak obmyślane, że z jednorazowego wydawnictwa łatwo przekształcić się mogło w peryodyczne; okoliczności jednak ówczesne wstrzymały wydawnictwo dalszych zeszytów *Radegasta*. Nie zrażony tym pierwszym zawodem, po dwuletniej przerwie wydaje nowe pismo zbiorowe, p. t. „*Pamiętniki umysłowe*” pod pseudonimem *Jana ze Śliwina*. Nie wiemy, jakie okoliczności spowodowały przerwę tego pisma, znacznie lepszego od *Radegasta*. Kirkor zamilkł na czas dłuższy, bo na lat dwanaście.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## W LOMBARDZIE PRYWATNYM.

Nieszczęśliwa ta ludzkość! Najlepsze, najzbawienniejsze dla niej instytucje, jakie sobie tylko stworzy, wyradzają się częstokroć w coś zupełnie pierwiastkowemu założeniu przeciwnego; to co miało być ratunkiem dla społeczeństwa, źródłem pomocy lub rozsądnikiem cnót, staje się z czasem urągowskim myśli poczciwej, jaskinią zepsucia, ironią zacnych zamiarów projektodawcy.

Czyż może być naprzykład coś sympatyczniejszego dla społeczeństwa dotkniętego ciężką dolą materialną, jak zakład dostarczający mu pożyczek, na fanty wprawdzie, na zastaw, ale tanich, na uczciwy procent, bez żadnych ubocznych myśli i celów niegodziwych.

Tymczasem czém są nasze prywatne lombardy?



Najprzód stopa procentowa pobierana przez nie jest zupełną improwizacją, gdyż „składowe” i inne opłaty wynoszą kilka razy tyle co procent, tak, że pożyczający obliczywszy się, zobaczy, iż został bardziej obdarty w lombardzie niż u pierwszego lepszego lichwiarza.

Spojrzyjmy na rycinę. Przed okienkiem kasy lombardu zebrała się gromadka ludzi, wyczekujących od rana do nocy, we wszystkich lombardach, choćby ich było setkami. Na przodzie stoi jakaś kobieta z lepszego widocznie towarzystwa, z lepszego niegdyś bytu; przyniosła resztki sreber zastawić; wstyd i boleść malują się na jej twarzy. Za nią ciśnie się parę biedniejszych kobiet z ludu. Naprost okienka chłopak od szewca, przyniósł od majstra buty na zastaw, a butelka którą trzyma pod pachą świadczy, że z pieniędzy, które na zastaw dostanie, ma przedewszystkiē kupić—pocieszycielki. Na lewo drzemie już na ławce, znużona długim oczekiwaniem staruszka, na którą może w domu czekają wnuczka, którym babka za zastawioną w lombardzie jakąś chudobę kupić chleba obiecała.

Ale pan lombardzista nie widzi, nie raczy widzieć całej tēj gromadki biedaków, bo ma do czynienia z najgodniejszym zajęciem klientem. Jest to wyrostek, z bezczelną fizygnomią, z dwoma zegarkami na dłoni; widocznie złodziej publiczny albo może tylko familijny, który rodzinę okrada. Ale co panu lombardzście do tego!... Zegarki są ładne, kosztowne, będzie można dać na nie stosunkowo nie wiele, a klient z pewnością się po wykupieniu fantu nie zgłosi. Czyż może być lepszy interes? Więc niech ucziwa i dobrze wychowana kobieta stoi sobie jaknajdłużej na tym pręgięzu bólu i wstydu; niech czekają biedne kobiety, oderwane może od pilnej pracy; niech pan majster niecierpliwi się za trzęsionką i zerżnie potem pocięgiem niewinnego chłopca za to, że się spóźnił; niech biedne wnuczka mrą z głodu wyglądając powrotu babki—byle zadowolony był klient—hultaj i nie poszedł ze swoim towarem do innego lombardu.

Niema obawy! Porozumienie między stronami traktatowemi widoczne, uśmiechają się do siebie wdzięcznie; rozejdą się z obopólnym swoim zadowoleniem. Wyrostek wyniesie trochę pieniędzy i pewność, że popełniony występki utopił jak w studni; lombardzista uszczęśliwiony będzie z dobrego interesu.

## ODCZYTY

### W MUZEUM ROLNICTWA I PRZEMYSŁU.

Czwarty z kolei odczyt na rzecz kasy imienia Mianowskiego „o ciepło i świetle elektrycznym” wypowiedział prof. E. Dzielwulski. Elektryczność jako siła, może wytwarzać światło i ciepło; na odwrót niektóre metale rozgrzewane okazują dążność do wytwarzania prądów elektrycznych. We wszechświecie istnieje pewien zasób pracy, którą możemy zużywać w ten lub ów sposób, ale której wytworzyć nie jesteśmy w stanie; tak samo jak atomy materji możemy układać i łączyć w rozmaite kombinacje i związki chemiczne, możemy je z tych związków wydzielać, ale nie jesteśmy w stanie wytworzyć ani jednego atomu.

Jedną z form pracy jest elektryczność.

Natrafiając na opór zmienia ona się na inną formę pracy, na ciepło, które zwiększa się w miarę jak opór staje się silniejszym. Siła znów oporu zależy od tego, czy ciało jakie jest lepszym lub gorszym przewodnikiem elektryczności. Do dobrych przewodników elektryczności należą metale, ale i między niemi są rozmaite stopnie; i tak platyna jest ośm razy gorszym przewodnikiem elektryczności niż srebro. Złemi znów przewodnikami elektryczności są węgiel, szkło, woda, które jednak przy ogrzaniu stają się lepszymi. Złe przewodniki stawiają oczywiście silniejszy opór prądowi elektrycznemu niż dobre. Jeżeli na dwóch końcach drutów stosu elektrycznego umieścimy węgle i zbliżymy je do siebie, prąd elektryczny tak je rozgrzeje, iż rozżarzą się i wytworzą pary silnie świecące. Zjawisko to zowie się łukiem Volty.

Ponieważ atoli węgiel przy biegunie dodatnim prądu elektrycznego prędzej ulega rozkładowi aniżeli przy ujemnym, przeto światło jest nierówne, która to okoliczność długi czas stała na zawadzie szerszemu zastosowaniu elektryczności do oświetlenia. W r. 1881 ukazała się na wystawie paryzkiej tak zwana „świeca Jabłoczkowa”, którą zrazu wzięto za szczyt udoskonalenia światła elektrycznego; potworzyły się wielkie stowarzyszenia do eksploatacyi tego wynalazku, ogromne kapitały na ten cel poświęcono. Powzięte atoli zrazu wielkie nadzieje zawiodły, i tylko nauka odniosła korzyść z rozmaitych doświadczeń i odkryć, jakie przy tēj sposobności poczyniono.

Dziś mamy dwa rodzaje lamp elektrycznych: łukowe i żarowe. W pierwszych węgle przegrodzone są ścianką z gipsu lub glinki; w drugich ognisko stanowi węgiel bambusowy, w platynowe szczypeczyki ujęty.

Oświetlenie elektryczne, jako zawsze kosztowne, nie rozpowszechniło się jeszcze w Europie; praktycznym ono jest tylko tam, gdzie tak np. jak w Nowym Yorku produkcya gazu bardzo drogo wypada; albo tam, gdzie chodzi o uniknięcie wysokiego stopnia gorąca i gazów szkodliwych, które się przy oświetleniu gazowym wywięzują.

Zresztą oświetlenie elektryczne ma tę zasługę, że wywołało konkurencyą ze strony producentów gazu, którzy starają się oświetlenie gazowe tak ulepszyć, aby elektrycznemu nie ustępowało.

Na piątym z kolei odczycie mówił p. S. Kramsztyk „o elektromagnetyzmie i telegrafach.” Prelegent rozpoczął od podania o pasterzu Magnesie, który wszedłszy na górę Idę w sandałach podkutych żelaznemi ćwiekami, nie mógł poruszyć się dalej, gdyż ziemia przyciągała mu nogi do siebie. Przytoczywszy następnie znane powszechnie własności magnesu, przeszedł prelegent do odkryć nowszych. Oerstedt w Kopenhadze (1819) i Ampère w Paryżu wykazali pierwszy związek między magnesem a elektrycznością. Pierwszy dostrzegł zbaczanie igielki magnesowej pod wpływem prądu elektrycznego; drugi wykrył magnetyczne własności selenoidu, t. j. drutu zwinętego spiralnie. Jakub Arago dostrzegł, że kawałek żelaza otoczony selenoidem staje się magnesem pod wpływem prądu elektrycznego, a utracą tę własność jak tylko prąd zostanie przerwany. Taki sztuczny magnes różni się od naturalnego tēm, że kiedy naturalny wywiera wpływ tylko na żelazo, on wywiera go na wszystkie metale, przyciągając jedne, odpychając drugie.

Tutaj prelegent skreślił pokrótce historią telegrafów, od najpierwotniejszych aż do telegrafu elektryczno-autograficznego, będącego ostatnim wyrazem nauki i wynalazków w tym kierunku. Dziś sieć telegraficzna na ziemi wynosi 2,000,000 kilometrów, a 230 lin telegraficznych snuje się po dnie morskiem.

Na szóstej prelekcji „o elektryczności atmosferycznej” ujrzeliśmy p. Jana Jędrzejowicza, znanego już na arenie odczytowej astronoma i meteorologa, właściciela obserwatorium w Płońsku. Prelegent wykazał najprzód tożsamość iskry elektrycznej i piorunu oraz istnienie dwojakięj elektryczności, dodatniej i ujemnej, a zarazem wskazał rozmaite źródła elektryczności, jak tarcie, parowanie i na odwrót zgęszczanie się pary wodnej, wreszcie zbliżenie ciała naelektryzowanego. Iskra elektryczna, to objaw łączenia się z sobą dwóch elektryczności, dodatniej i ujemnej. Prelegent wykazał analogią między wytworzeniem się elektryczności na maszynie i w powietrzu, opisał doświadczenie z latawcem elektrycznym Franklina, mówił o przeladowaniu chmur elektrycznością, o elektrometrach a szczegółowo o przyrządzie Palmieriego do mierzenia natężenia elektryczności w powietrzu.

Opisawszy zjawisko iskry piorunowej, której obraz, schwycony przez fotografią, ukazał na ekranie, przystąpił prelegent do barwnego zobrazowania burz rozmaitego rodzaju, bądź to miejscowych, bądź wirowych, czyli tak zwanych cyklonów. Następnie wyłożył teorią grzmotu, gradu i najwspanialszego ze wszystkich zjawisk powietrznych — zorzy północnej. Malowniczy był opis zorzy widzianej u nas w r. 1872 a odbite na ekranie obrazy zórzy widzianych na północy uzupełniły ten odczyt pełen nauki i niezmiernie zajmujący, za który publiczność zasłużonemi okrywała prelegenta oklaskami.

W sobotę, z siódmym z kolei odczytem na rzecz kasy imienia Mianowskiego, — „o indukcji i elektromot rach” wy-



stąpił poraż już trzeci w tej seryi na katedrę prelekcyjną pan E. Dziewulski. Obszerny i piękny ten odczyt, za którym w ślady wiernie iść dla braku miejsca nie możemy, da się tak streścić w krótkości.

Elektryczność istnieje wszędzie, w całym świecie, ale w ukryciu; wywołać ją dopiero można na podstawie znanego już pewnika, że równoimienne elektryczności się odpychają a różnoimienne łączą. Gdy więc do pewnego zbiornika elektryczności przysuniemy dobry przewodnik, elektryczność się rozłoży i jedna zbierać się będzie na jednym jego końcu a druga na drugim; w skutek tego powstanie prąd elektryczny, niby sztucznie wzbudzony, wprowadzony, czyli indukcyjny.

Na tém polu największe położyli zasługi Ampère i Faraday; ten ostatni mianowicie tak sformułował prawo indukcji: we wszystkich wypadkach indukcji elektro-magnetycznej, prądu magnetycznego mają kierunek zwalczający ruch, który je wywołał. Zjawiska indukcji ujawnia najlepiej tak zwana cewka Rumkorfa. Pierwsze maszyny elektro-magnetyczne zbudowali Siemens i Graham.

Wszelka siła działająca jedynie w miejscu jest poniekąd martwą; pomyślano też i o przeniesieniu działania siły elektrycznej na większe odległości. Takiemi przyrządami są już poniekąd telegrafy elektryczne i przybory do oświetlania elektrycznego, tylko że te wiele siły gubią po drodze i w bardzo słabym stopniu przenoszą ją w odległość. Próby późniejsze doprowadziły zadanie to do pewnych szerszych granic; umiemy już dzisiaj dość znaczne ilości siły elektrycznej przenosić na odległość kilkudziesięciu kilometrów. Prelegent wyraził w końcu wiarę swoją w postępek na tém polu i zakończył odczyt pięknym porównaniem nauki z żórawiem, zataczającym w powietrzu coraz szersze koła przed odlotem.

## SERWIUSZ TULLIUSZ.

Ankus Marcyusz, czwarty król rzymski, umierając, porucił opiekę nad swymi synami L. Tarkwiniuszowi, zwanemu starym (*priscus*); ten atoli sam wystąpił jako kandydat do godności królewskiej a senat i obywatele jednogłośnie osadzili go na tronie od r. 615 do 578 przed N. Chr., w którym za sprawą synów Ankusa Marcyusza zamordowanym został. Po nim, z pominięciem synów, nastąpił zięć jego Serwiusz Tulliusz (578—534), według podania syn niewolnicy, którego koniec był jeszcze tragiczniejszym.

Serwiusz Tulliusz, zapomocą reformy ustaw zasadniczych, stworzył jednolity naród z rozdzielonych dotąd między sobą patrycjuszów i plebejuszów, był twórcą wolności ludu rzymskiego, atoli w skutek swoich rozporządzeń, mających na celu niesienie ulgi klasom niższym, ściągnął na siebie nienawiść rodów patrycjuszowskich, które poczęły myśleć o jego zgubie, i nareszcie we własnej rodzinie królewskiej wykonawcę swego ohydneho zamiaru znalazły.

Powiadają, że Serwiusz Tulliusz dwie córki swoje wydał za dwóch synów Tarkwiniusza Starego. Luciusz Tarkwiniusz, człowiek wielce chwiejnego charakteru, połączony został ze starszą, kobietą łagodną i skromnych obyczajów; podczas gdy uczciwy i prawy Aruns dostał młodszą Tullią, kobietę ambitną, dzikiego i przewrotnego charakteru. Dla niej ojciec żył zadługo, a gdy powzięła na swego męża podejrzenie, że po ojcowskiej śmierci gotów był tronu bratu ustąpić, zabiła go, namówiwszy również swagry swego Lucjusza, aby żonę swoją życia pozabawił.

Następnie zbrodnicza ta para zawarła z sobą związek, a Tullia skłoniła swego nowego małżonka do wejścia w porozumienie z pewną partją niezadowolonych patrycjuszów, która zamordować szlachetnego króla Serwiusza Tulliusza postanowiła.

W czasie żniw, gdy znaczna część ludu była w polu, ukazał się w senacie Luciusz Tarkwiniusz przybrany w insygnia królewskie i hucem zbrojnych otoczony. Dowiedziawszy się o tym rokosz przybiegł król nieustraszony i powstał na

swego zięcia jako na buntownika, ale ten pochwycił słabego starca i strącił go z kamiennych schodów. Skrwawionego i pokaleczonego Serwiusza podnieśli i uprowadzili wierni jego przyjaciele, ale zanim zdążył do swego mieszkania, dogonili go słudzy wysłani za nim przez Lucjusza i zamordowali. Trupa porzucili na ulicy, w kałuży krwi jego własnej.

Tymczasem Tullia, nie mogąc się doczekać wiadomości o spełnieniu zbrodni, przyjechała do kury i powitała swego małżonka jako króla; ale nawet jemu radość jej wydała się straszną i kazał jej wrócić do domu.

Tullia obrała sobie inną drogę do powrotu i udała się ulicą, odtąd zbrodniczą (*vicus sceleratus*) nazwaną, na której leżał trup jej ojca. Muły przestraszyły się a powożący sługa chciał wóz zatrzymać, ona jednak wyrwała mu lejce z ręki i skierowała muły wprost na zwłoki ojcowskie, z których krew obryzgała wóz i jej szaty.

Zbrodnia została z czasem ukaraną: Tarkwiniusz, później Pyszny (*Superbus*) nazwany, został w r. 510 strącony z tronu, który w tak ohydny sposób opanował; na nim skończyło się panowanie królów w Rzymie.

## RAPTULARZ TYGODNIOWY.

Wystawę sztuki i starożytności już otwarto w kilkunastu salonach Hotelu Europejskiego. Przedmiotów nagromadzono kilka tysięcy sztuk; pomiędzy nimi są arcydzieła sztuki pięknej, drogocenne pamiątki i kosztowne srebra z magnackich kredensów.—O wielkiem powodzeniu wystawy wątpić nie można, zainteresuje się nią każdy człowiek mniej lub więcej ukształcony, artysta, rzemieślnik, amator starożytności i pamiątek.—Pomysł wystawy i główna praca przy jej urządzeniu należy do hr. Józefa Krasieńskiego, któremu pomagali gorliwie artyści: Gerson, Miller, Kolasiński, Strzałecki i inni.—Cel wystawy filantropijny.—Przechadzka po salonach i rysunki uprzytomniające wystawę czytelnikom oddalonym od Warszawy, pomieści Biesiada L. w najbliższych numerach.

Ś. p. kardynał Jacobini, sekretarz stanu papieża Leona XIII, zakończył życie d. 3 b. m. w Watykanie. Długa a ciężka choroba kazała oddawna zgon ten przewidywać, tylko niezwykłe silny organizm ś. p. Kardynała znosił tak długo powtarzające się cierpienia, spowodowane głównie pedogrą i wodną puchliną postępującą ku sercu.—Sławny dygnitarz, który polityce dworu papieżkiego nadał zupełnie nowy kierunek, dążący do zgody i ustępstw, więc stanowczo spreczny z dumnym, może niepraktycznym ale prawdziwie monarszém „non possumus” Piusa IX, umarł na łożu żelaznym, w pokoju zastawionym skromnie, prawie po mieszczańsku. Najniezbędniejsze tylko sprzęty, biblioteka i obrazy święte na ścianach składały umeblowanie komnaty kardynalskiej.—Do ostatniej chwili zachował przytomność dzielnego umysłu; już język był sparaliżowany a umysł jeszcze pracował—na kilkanaście minut przed skonem kardynał odzyskał mowę i głośno zawołał: „Il Papa lo saprà!” Papież będzie wiedział; potem zasnął i oddał Bogu ducha.—Nie zbyt długie życie kardynała, miał lat 57, obfituje w wielką ilość czynów, od których zależał kierunek polityki wielu państw względem głowy Kościoła katolickiego. Zajmując najważniejsze posterunki zagranicą a w końcu przy stolicy Apostolskiej, wiedział o wszystkim, na wszystko wpływał. Rady jego były cenione przez Ojca Ś-go; kardynał pomimo swój samodzielności umiał pogodzić ją z wolą swego pana, który wymaga bezwzględnej posłuszeństwa. Nie wszędzie ręka kardynalska była jednakowo szczęśliwą, czasem ustępstwa zadaleko zachodziły a zamało korzyści dawały; nieraz polityka zanadto brała górę nad majestatem duchowym Kościoła, zbudowanego na opoce Piotrowej; ale dopiero jawność historyczna porachuje w jego pracach plony i wyda wyrok nieomylny.—Dziś zaprzeczycie niepodobna, że posiadając wielki rozum, również wielką zręczność dyplomatyczną, zawsze działał w imię wielkości Kościoła, którego był wiernym synem i sługą, działał w tej myśli, że lepiej żółwim krokiem iść naprzód niż stać w miejscu.—Galicya dużo zawdzięcza zmar-





MAŁŻONKA TARKWINIUSZA PYSZNEGO.

Obraz A. Zicka.





W I A R A .

Posąg marmurowy Ettore'a Ximenesa.